WOJCIECH STPICZYŃSKI

KRWAWY, PRACOWITY CUD 1920 ROKU

WARSZAWA — 1930

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE IM. MIKOŁAJA REJA
SKŁAD GŁÓWNY — „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ".

KRWAWY, PRACOWITY CUD 1920 ROKU

WOJCIECH STPICZYŃSKI

KRWAWY, PRACOWITY CUD 1920 ROKU

■

WARSZAWA — 1930

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE IM. MIKOŁAJA REJA
SKŁAD GŁÓWNY — „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ".

WOJCIECHA STPICZYŃSKIEGO

POLSKA, KTÓRA IDZIE, str. XII, 240. — Warszawa 1929.
GŁOS PRAWDY, str. VIII, 282. — Warszawa 1930
MŁODZIEŻY — CIEBIE BAŁAMUCĄ, str. 96. — Warszawa 1930.

Zakł. Graf. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2.

W ATMOSFERZE WIELKIEGO CZYNU

I.

W ATMOSFERZE WIELKIEGO CZYNU.

Porwał nas we władanie pośpiech wypełniania treścią czynów luk, poczynionych, we wszystkich dziedzinach życia i posiadania narodowego, przez niewolę.

Naprzód i naprzód! — z wewnętrznego odczucia dziejowej konieczności pada miarowa, jedyna, niezmienna, komenda.

W wartkim, mozolnym, zdobywczym pochodzie od niewoli i zacofania ku poziomowi współczesnych nabytków cywilizacji zachodniej, szybko odbiegają nas obrazy dni minionych. Na rozpamiętywanie ich tak mało mamy czasu.

Konieczna sztuka refleksji tak niegłęboko jeszcze przeniknęła nasz system myślowy.

Dominująca rola uczucia, reakcji uczuciowej, względem zagadnień i przejawów życia zbiorowego, pozostaje nadal naszą cechą narodową. Zrodzone z namiętności, kryje ono w sobie straszliwą, choć czasami fenomenalnie twórczą, skłonność do zmienności zdumiewającej, do unoszenia całego narodu na szczyty natchnienia i heroizmu, i strącenia go stąd na dno zobojętnienia i apatji.

Namiętność! Z całą poetycznością pozorów i animalizmem treści umiera ona i rodzi się nanowo w każdej omal chwili. Żadnej w niej ciągłości. Wieczna anarchistka nie uznaje żadnych wartości, ani żadnych prawd. Źródłem jej natchnienia jest własne, chwilowe pożądanie, kaprys, co jak lotna chmurka gradowa w sierpniowy dzień upalny, przemija bez śladu. Treścią jej życia — pozory, teatralna patetyczność zjawisk. Formą objawień — zachwyt i ubóstwienie, lub nienawiść krańcowa; wczorajsze bóstwa dziś spostponowane, dzisiejsze umiłowania dnia jutrzejszego niepewne.

Namiętność! — wróg godności człowieczej; namiętność! — świadectwo młodości naszego narodu, może pocieszające, bo przecież przed młodością długa jeszcze ściele się droga żywota, może niepokojące, boć świat dzisiejszy tak mało posiada skłonności do wybaczeń, tak trudno oczekiwać odeń, by otoczył życzliwością młodzieńczość, zanim przejdzie ku wiekowi dojrzałemu.

Bezcenna mądrość refleksji stanowczo w zbyt słabym stopniu uczestniczy w naszem życiu narodowem. I przeto tak często w naszych dziejach poczynione doświadczenia i zdobyte wartości pozostawały bez twórczego wpływu na bieg losów narodu; fale namiętności spychały go z ich gościńca i pogrążyły w odmęty upojnego szaleństwa, kryjącego w barwnej pianie okrutną gorycz zguby.

Zaiste, nie stać nas dzisiaj na luksusy tak kosztowne, na rozrzutność całą wartością istnienia, na lekkomyślność, którą — jak każde zło — można próbować usprawiedliwić, lecz wybaczyć niepodobna.

Czas na refleksje musi się znaleźć, albowiem życie tylko chwilą bieżącą i namiętnościami, chociażby pozornie najszlachetniejszemi, jest, a przynajmniej stać się łatwo może, najgorszą formą straty czasu i energji. To mało słuchać wewnętrznego poczucia konieczności i iść naprzód. Naprzód, to może być również kierunek do zguby, nietylko do rozwoju i postępu. Naprzód, to tylko zapowiedź komendy, to jeszcze nie jest kierunek i metoda marszu.

Poczynione doświadczenia, zdobyte w wielkich próbach wartości, są i być muszą autorytatywnymi arbitrami w każdorazowem rozstrzyganiu kwestji: którędy i jak naprzód? Szukanie rozstrzygnięć w natchnieniach chwili, przez naród o tak bogatej jak nasza tradycji, dałoby się chyba porównać z warjactwem ojca, który, posiadając wielki majątek, postanowił nagle szukać zarobku, by zań nakarmić swoje głodne dzieci. Zdarzyć się może, że zanim znajdzie on zarobek, dzieci umrą w mękach głodowego konania, obok nietkniętej góry ojcowego złota. Spóźniona rozpacz ojca pogrzebionym dzieciom nie powróci życia. Namiętność pracy po żywocie leniwym nie rehabilituje go w oczach ludzkości; potępi go ona za brak refleksyjnego rozumu.

Więc jeśli czego obawiać się dla naszej przyszłości należy, to tego, że fizjologiczny niejako imperatyw ruchu naprzód, zbyt pochłaniając całą uwagę narodu, każe mu łatwo zapominać przeżycia dnia wczorajszego, ronić zdobyte doświadczenia i wartości, tracić te bezcenne busole wśród pian namiętności, pchających go ku nieznanym przystaniom nieznanych przypadków.

Wpojony głęboko masie narodowej dewocjonalizm, skłania ją do czysto formalnego obcowania ze swoją przeszłością. Cześć dla umarłych stanowi istotną treść tego stosunku. Stąd skłonność do czczenia fragmentów przeszłości możliwie dalekiej, uwiecznionej w bronzach pomników i marmurach nagrobków ich bohaterów.

Czcimy w życiu narodowem fetysze i pomniki, a nie wartości; stosunek zaś do wielkich przewodników i bohaterów określamy według stopnia zaspokajania przez nich naszych każdorazowych życzeń i pragnień. Przyznajemy lub nie wielkość wielkiemu mężowi stanu lub wodzowi, w zależności od otrzymania za jego sprawą trafiki tytoniowej, ulg podatkowych, celnych lub podobnych korzyści materjalnych.

Zapewne, jest w tem coś ludzkiego, podobnie jak coś ludzkiego jest także w ludożerstwie, chociażby dlatego, że uprawiają je niewątpliwi ludzie. Lecz na poziomie kultury współczesnej, która przyniosła uspołecznienie człowieka, czyniąc go świadomym członkiem gromady i nauczyła wyżej cenić interes gromady od osobistego, a nawet ponosić na rzecz tego pierwszego dość znaczne, czasami olbrzymie, ofiary, — kryterja indywidualnego utylitaryzmu, punkt widzenia własnego żołądka i chciwości, oraz kult dewocjonalizmu zamiast żywego stosunku w odniesieniu do wartości ogólnonarodowych i ogólnoludzkich, jest jednak pozostałością epoki dzikiego bytowania człowieka na odpowiedzialność Stwórcy.

Ta pozostałość prowadzi w konsekwencji do odcinania się, przeważnie bezwiednego, masy narodowej od obcowania z dorobkiem i wymową minio-

nych dni własnej epoki i nawiązywania dewocjonalnego kontaktu z epoką pokoleń minionych, poprzez stulecia, jakgdyby nasze kroki najbliższe miały stać w konstruktywnym związku z tem co było wówczas, a nie z tem, co się czyniło i przeżyło wczoraj. Ona to sprawia, że ponieważ Marszałek Piłsudski nie zaspokoił egoistycznych ambicyj narodowych demokratów, rozwijają oni olbrzymią propagandę przeciw obcowaniu obywateli z duchem i treścią społeczną zwycięstwa nad Rosją w r. 1920, jako nieuchronnie związanego z osobą, do której żywią małoduszną, animalistyczną urazę, a za święceniem rocznicy Konstytucji majowej, z której tę tylko chyba społeczność wyciągnąć winna naukę, że już przed stu czterdziestu laty patrjotyczne i światłe próby ratowania walącej się w przepaść Ojczyzny przedsiębrać trzeba było w drodze zamachu stanu przeciw warcholskiej i roznamiętnionej powszechności oraz jej emanacji politycznej, większości sejmowej. Dla obozu pomstującego na analogiczny akt dni naszych, znikoma wydaje się z tej propagandy wynikać korzyść.

Ten ostatni wzgląd żadnego przecież nie posiada znaczenia praktycznego. Gdyby nawet Konstytucja 3-cio majowa nie zjawiła się na świecie w drodze zamachu, czyny polityczne naszej epoki, a wśród nich i sporny z maja 1926, pozostaną faktami historycznemi. Czy za lat sto nowa jakaś edycja narodowej demokracji, — jeśliby podobny wyrostek pojęciowo - psychiczny miał jeszcze wówczas istnieć na organiźmie narodowym, — będzie go czciła świętem lub nie, to narazie jest dla najbliższych losów narodu sprawą głęboko obojętną.

Chodzi o to, że naród, im cięższemi obarczony jest i rozliczniejszemi troskami, im praca organizowania życia bardziej go pochłania i wciąga — jak to się dzieje w danej epoce — w orbitę materjalizmu i prozy twardej powszedniości, tem częściej winien on zanurzać się w atmosferę swoich wielkich momentów, wielkich czynów, zrodzonych z uczuć i nastrojów i uniesień myśli odświętnych. A to nietylko dla nakarmienia słusznej dumy, lecz przedewszystkiem dla odświeżenia tych społecznych, patrjotycznych i ludzkich cnót i walorów, które przyniosły mu zwycięstwo w wielkiej próbie pokonywania przeszkód na drodze rozwoju, a przygasanie których w mało efektownym znoju codziennego wysiłku pracy gospodarczej, zmniejsza warunki wydajności tego wysiłku już choćby dlatego, że miejsce przygasających cnót wypełniają stopniowo namiętności i egoizmy — czynniki z gruntu antyspołeczne, demoralizujące, destrukcyjne.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jeżeli nawet zwycięstwo roku 1920-go słusznie uważać należy za wspaniałe dzieło narodu, trzeba też pamiętać, że było to dzieło oręża i że przepajanie jego duchem społeczeństwa usposobionego wybitnie pokojowo i stojącego wobec olbrzymich trudności natury gospodarczej, nie wydaje się być pożytecznem.

Przeciwko takiemu powierzchownemu poglądowi należy założyć stanowczy protest.

Pomijając już, że sam cel nasycenia głodu dumy narodowej z okazji 10-cio lecia zwycięstwa, a więc wzmocnienia samopoczucia narodu wobec stojących przed nim zadań, wydaje się być naj-

wyższej godnym uwagi, — należy pamiętać, że każda wojna — jeśli odrzuciwszy jej akcesorja zagłębimy się w treść — jest odzwierciadleniem dwóch procesów: jednego toczącego się zewnątrz narodu, a drugiego w nim samym, z których pierwszy dotyczy wprost warunków jego egzystencji, a drugi — możliwości rozwoju. Że nadto wojna jest niczem więcej jak próbą przezwyciężenia pewnej formy przeszkody w procesie rozwojowym narodu, i że kwalifikacje i wartości wymagane w tym wypadku, mają pełne i omal całkowite zastosowanie we wszelkich innych przejawach walki o byt.

Jeśli warunkiem zwycięstwa w wojnie — a mówimy ciągle o wojnie obronnej — jest wysoki rozkwit cnót społecznych kosztem egoistycznego światopoglądu, przepojenie się narodu całego poczuciem wspólnoty wobec stojącego przed nim zadania obrony wartości wyższego rzędu, jak wolności, — analogiczne stawianie interesu społeczeństwa jako całości na pierwszym planie przemyśleń i dążeń będzie pobudką dla jednostek do rozwijania szlachetnej inicjatywy i wysiłku, poza granicę czysto osobistych konieczności, w każdej dziedzinie życia zbiorowego. Cnota karności jest nie do pomyślenia na egoistycznym szczeblu rozwoju jednostek, stanowiących naród. Wydawać się ona wówczas musi jakimś okropnym przymusem, gwałtem na indywidualnej swobodzie wegetowania, jakimś zamachem na t. zw. wolność, będącą w rękach nieuspołecznionych jednostek czy grup brzytwą, przyłożoną do szyi samej egzystencji narodu. Przeciwnie, w społeczeństwie przepojonem głęboko odczuciem wspólnoty, w narodzie

wysoko uspołecznionym, opanowywanie namiętności osobistych i pożądań grupowych będzie rozumiane jako zasługa około utrzymania harmonji wewnętrznej i godności nazewnątrz, co w przełożeniu na język pojęć praktycznych oznacza: rozwój i siłę.

Fakt, iż w wielkiej wojnie lat 1919—20 z Rosją, byliśmy stroną zwycięską, mimo wszystkie niesprzyjające nam okoliczności, wskazuje, iż naród wykrzesał z siebie w tej próbie cnoty społeczne wysokiej wartości. Zanurzenie się w tę gorącą atmosferę z przed laty dziesięciu wydaje się być wprost koniecznością obecnie, gdy piana namiętności stronniczych usiłuje wydostać się na powierzchnię życia narodowego i utopić w swym nurcie wszelkie cnoty i wszelki rozsądek.

NA TLE DZIEJOWEM

II.

NA TLE DZIEJOWEM.

Przeżycia z przed laty dziesięciu, tak świeże i tak niezapomniane, rysują się w pamięci łańcuchem scen dramatycznych, emocyj wstrząsających. Wojna przeraża skalą niepowszednich efektów, przesłaniając siły je wywołujące, utrwalając się w wyobraźni purpurą przelewanej krwi, łunami pożarów, błyskawicami grzmiących dział, ruinami domostw — ośrodków pracowitego wysiłku ludzkiego, falowaniem mas cywilnych obywateli, wypieranych z sadyb przez ruchomego węża bojowego frontu.

Obrazów okropności przechowuje we wspomnieniach z r. 1920-go ogromna ilość Polaków, mnóstwo niewyczerpane. Przechowują je zwłaszcza matki i ojcowie, i żony, i dzieci tych co nie powrócili, co najwyższe Ojczyźnie złożyli ofiary, a z kości swoich i mogił zadumanych wznieśli narodowi wieczysty kopiec sławy. Śpiących rycerzy pamięć zawsze żywa...

Lecz przeżycia z przed laty dziesięciu mają obok tej zewnętrznej i inną, wewnętrzną, wymowę i logikę; poza formą, której ludzkość usiłuje zapobiec w przyszłości przez apelowanie do uczuć pa-

cyfistycznych, mają i treść, pełną dla naszego narodu życiowego, praktycznego, znaczenia.

Zapewne. Sam w sobie — chociażby najpotężniejszy, najwymowniejszy, nawet najsilniej dramatycznością przesycony — epizod dziejów staje się mało lub conajmniej niedostatecznie zrozumiałym, podstawą wniosków dowolnych, interpretacyj czerpanych raczej z wyobraźni i spekulacyj myślowych interpretatora, niż z rzeczywistości. Można wyolbrzymiać lub pomniejszać jego znaczenie, w zależności od siły i zabarwienia wyobraźni, można zmieniać jego oblicze, zawsze z pewną dozą pozornej słuszności.

Jeśli np. — jak to z wojną lat 1919—20 uczynił pewien polski obóz polityczny — podstawić pojęcie *bolszewicy* zamiast *Rosjanie* i *Sowiety* zamiast *Rosja*, można dowieść, z pozorami logiki, że wogóle przed dziesięciu laty nie mieliśmy sprawy z Rosją. Można snuć koncepcje polityczne oparte na traktowaniu Sowietów i Rosji jako dwóch odrębnych państw, bolszewików i Rosjan, jako dwóch różnych narodów.

Wystarczy przecież ostatnią wojnę polsko-rosyjską ustawić na tle dziejowym, by dowolności w ocenie jej znaczenia doznały znakomitego ograniczenia, by zarazem wartość odniesionego zwycięstwa uzyskała pełne wymiary.

Tło dziejowe stosunków polsko-rosyjskich!

Pięć omal wieków obejmują jego obszerne ramy. Pięć wieków. Czas, w którym najzawilsze, najstaranniej ukrywane prawdy, muszą wreszcie odsłonić swe oblicze. Pole obserwacji i doświadczeń godne napewno przynajmniej pobieżnej, przynajmniej powierzchownej uwagi.

Warto posłuchać, gdy głos zabierają pięć wieków codziennej praktyki; warto otworzyć ucho wymowie zebranych przez nie doświadczeń.

Pięć wieków wstecz, to wiek XV. Oblicze polityczne świata zarysowane jest wówczas nieco odmiennie niż dzisiaj. Inaczej też wygląda wschód Europy. Polska, złączona z Litwą, jest u szczytu potęgi. Wielkie księstwo moskiewskie dopiero u jej progu. Polska opłakuje już wielkiego Jagiełłę, Moskwa czeka dopiero na swego wielkiego męża stanu. Lecz już starcie kierunków ekspansji zarysowuje się w konturach ogólnych. Moskwa spogląda okiem coraz bardziej zaniepokojonem i coraz silniej pożądliwem ku zachodowi. Wielkie obszary Litwy i Polski nęcą ją coraz mocniej. Marzenie o podbiciu ich i wchłonięciu snuje się po komnatach wielkoksiążęcego pałacu. W. ks. Iwan Wasiljewicz wypowiada je głośno, — formułuje program zaboru ziem litewskich.

Z tą chwilą rozpoczynają się śmiertelne Polski z Rosją zapasy i trwać będą aż po dni nasze.

Wiek XVI inauguruje nieskończoną, parowiekową, falę najazdów. Syn Iwana Wasiljewicza, wielki książę moskiewski Wasil Iwanowicz przypłaci pierwszą na Litwę wyprawę sromotną klęską pod Orszą (1508) i cofnie się przerażony ciężarem ojcowskiego testamentu. Lecz w 1514-ym, w ponownej wyprawie, zdobędzie Smoleńsk, który przez sto lat omal pozostanie w rękach moskiewskich. To pierwsze powodzenie wpłynie bardzo podniecająco na rozwój zaborczych marzeń moskiewskich i — jak pokaże przyszłość — na niedocenianie potęgi Rzeczypospolitej. Pod działaniem tych dwóch czynników kształtuje się nieby-

wale butna postawa Iwana IV Wasiljewicza Groźnego, ciężko i przykładnie ukarana przez króla Batorego.

Iwan Groźny, z właściwą naturze rosyjskiej skłonnością do krańcowości, wysuwa odrazu program całkowitego podboju Litwy i Polski. W liście do króla Stefana nazwie go wręcz „królem w naszem dziedzictwie" i traktować będzie zgóry i arogancko. Posłom swoim nakazuje żądać, by król przyjął ich stojąc, bez czapki i by pytał o zdrowie cara. Nie uzyskawszy tego poniżenia majestatu Rzeczypospolitej, posłowie powracają do Moskwy, nie dopełniwszy poselstwa. Dla siebie Groźny żąda tytułu cara, Batoremu odmawia tytułowania go bratem. Samowładny do najwyuzdańszego okrucieństwa w polityce wewnętrznej, politykę z Polską rozpoczyna od tonu najwyższej zadzierżystości. W marzeniach widzi ją już u stóp swych spętaną, swoją okutą żelazem laskę, którą okładał zgięte grzbiety swoich bojarów i rozwalał głowy opornych, podniesioną do godności podwójnego berła: króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego. Los miał wyleczyć go z tych złudzeń i to radykalnie. „Trafiła kosa na kamień" — trafił Groźny na Batorego.

W roku 1568-ym rozpoczyna Groźny realizację swego programu najazdem na Inflanty, aliści zatrwoży go dzieło unji lubelskiej, klęska nadziei na rozerwanie związku między Koroną i Litwą, wygranie tej drugiej przeciw pierwszej i kolejne pochłonięcie obydwu. Zjednoczenie sił polsko-litewskich skłania go do ostrożności, — zawiera trzyletni rozejm, zatrzymując Połock i część Inflant. Wykorzystując w następnych latach trudności

wewnętrzne Rzeczypospolitej, przewlekający się wobec braku wojska bunt Gdańska, ruszy on przecież na dalszy podbój Inflant. Za Batorym i jego wielkim kanclerzem Zamoyskim Janem, cała Polska zaczyna rozumieć niebezpieczeństwo najazdu. W rycerskim królu budzi się lew, wkrótce butny car odczuje drapieżną siłę jego pazurów.

W latach 1579—80—81-ym, w trzech wyprawach, Batory, przezwyciężając opory i wichrzenia sejmu, zdobywając Połock, Wielkie Łuki, oblegając Psków, zagrażając Moskwie, zada twardą klęskę militarną, polityczną i moralną swemu przeciwnikowi. Każe się długo i uniżenie błagać o pokój. Teraz on odmawia Groźnemu tytułu brata, teraz do łaski ucałowania jego ręki cisną się posłowie Groźnego, zaopatrzeni przez swego władcę w instrukcje, by nawet zniewagi czynne i głód i wszelkie inne poniżenia a szykany, których im zresztą w obozie królewskim nikt nie wyrządza, znosili pokornie, w milczeniu, z uśmiechem.

Chwałę i wielkość Polski odnawia znów i ku szczytom unosi wspaniałe dzieło Batorego. Kto wie jakiemi szlakami potoczyłyby się losy, gdyby wysiłek i patrjotyzm szlachty podążył za dumnemi planami królewskiemi. gdyby nie był przez sejm zmuszonym zaniechać wojny, zamiast — jak tego pragnął — szukać rozstrzygnięcia stanowczego pod murami Moskwy, a może i na wysokim Kremlinie.

Ta sytuacja, olśniewająca perspektywami nieskończonych możliwości, stanie się dopiero — dzięki genjuszowi wojennemu hetmana Żółkiewskiego — udziałem słabego statysty i lichego człowieka, Zygmunta III-go, który ją z dziwną pasją

i ślepotą zmarnuje, zaprzepaści, przeciw Polsce odwróci.

W 1609-ym roku przedsiębierze on wyprawę przeciw Rosji, przez małoduszną nieufność do wielkodusznego Żółkiewskiego, wbrew hetmańskim planom, na Smoleńsk, pod potężnemi murami którego stać będzie dwa lata, prawda, zdobywając go wreszcie, lecz dzięki akcji hetmańskiej, będącej szczytowym punktem powodzenia polskiej polityki i oręża w dziejowej rozprawie z Moskwą.

Wspaniałym rozgromem pięćdziesięciotysięcznej armji brata carskiego w 1610 roku, posiadając pod swemi znakami zaledwie parę tysięcy rycerstwa, otwiera sobie Żółkiewski drogę do Moskwy, w której, dzięki rozumnej i przezornej polityce, wykorzystującej zręcznie zamęt wewnętrzny w Rosji i zjednującej sympatje bojarów i ludności dla Rzeczypospolitej, staje się on centralnym punktem wydarzeń, zakończonym legalnym i niewymuszonym wyborem na tron moskiewski polskiego królewicza Władysława.

Wielki wódz i statysta otworzył przed Rzecząpospolitą olbrzymie perspektywy poprowadzenia wielkiej polityki wschodniej; o czem śnił Batory, mogło być dokonane obecnie.

Niestety, od tego momentu, jakby za karę za stracone możliwości, odwraca się karta losu.

Król niweczy dzieło Żółkiewskiego. Niezadowolony z wyboru syna, domagając się tronu moskiewskiego dla siebie, zadrażniając uczucia religijne prawosławnej Rosji, doprowadza do upadku kandydatury królewicza Władysława, do utraty zdobytej politycznej i militarnej pozycji w Moswkie, do wprowadzenia na tron wielkoksiążęcy

pierwszego członka dynastji Romanowych. W umowie rozejmowej (1618) wprawdzie Polska zyskuje Smoleńsk, Nowogródek i Czernihów, lecz przegrywając wielką konjunkturę dziejową, szybko straci te nabytki, by wreszcie stracić wolność.

Na temat wielkich i małych ludzi, — jakże szerokie jest tu pole rozważań.

Szala losów przeważa się ku przeciwnej stronie. Wkrótce będziemy świadkami walki o tron polski dla carewicza rosyjskiego.

W roku 1654, jak w końcu 1920 armje Tuchaczewskiego i Budiennego, car Aleksy wkracza do Rzeczypospolitej dwoma armjami: stutysięczną na Litwę i czterdziestotysięczną na Ukrainę. Wojny kozackie i szwedzkie, mała zdolność organizacyjna i słabość charakteru Jana Kazimierza, — oto okoliczności sprzyjające najazdowi moskiewskiemu. Car zajmuje Smoleńsk i Wilno, Czernihów i Kijów, w warunkach pokoju wymusza dodatkowo przyrzeczenie tronu, po zgonie króla, synowi swemu Aleksemu Michałowiczowi. Odmowa ze strony sejmu zatwierdzenia tego przyrzeczenia wywołała w następstwie nowy najazd moskiewski w imię rzekomych praw do tronu, tym razem szczęśliwie odparty pod Lachowiczami i Cudnowem (1660) przez hetmanów koronnych i litewskich.

Te ciężkie doświadczenia i pokrzepiające ducha zwycięstwa, niestety, nie wpłynęły na rozwój sytuacji wewnętrznej w Rzeczypospolitej, otrzeźwienia nie wywołały, marnotrawstwu sił w zamęcie walk stronniczych nie zapobiegły. Brak prawdziwego patrjotyzmu, namiętności, porywające możnych panów i tłumy szlacheckie do ustawicznych buntów i swawoli, będą karmić i rozzuchwalać

zaborcze instynkty Moskwy, budzić apetyty dworu wiedeńskiego na Małopolskę, ośmielać Turków i Tatarów do nowych, coraz potężniejszych, najazdów. Król Michał Wiśniowiecki otrzyma od sułtana niewolniczy kaftan poddaństwa i przełknie tę zniewagę w milczeniu.

Genjalny wojownik, król Jan Sobieski jeszcze na parę dziesiątków lat Rzeczpospolitą nad brzegiem zatrzyma przepaści, jeszcze opromieni oręż i imię Polski blaskiem najwspanialszych w historji wojen zwycięstw pod Chocimem i Wiedniem, zada potędze turecko-tatarskiej cios śmiertelny, lecz zbyt słabym okaże się statystą, zbyt intrygom smutnej pamięci żony uległym mieszczańskim małżonkiem, by zwycięstwa oręża na siłę wewnętrzną przekuć, rozwydrzeniu tamy postawić, prywatę zdusić. W ostatnim dziesiątku lat XVII-go stulecia biskup Załuski zapisze z bólem serdecznym: „Stan kraju łatwiej było opisać łzami, aniżeli piórem". Za chwilę rącze rumaki powiozą go pośpiesznie do Wilanowa, do łoża Sobieskiego, wśród najstraszliwszych przeczuć i najokropniejszej o Ojczyznę trwogi zamykającego oczy na ostatni, wieczny, sen. Męstwo Rzeczypospolitej skonało wraz z królem.

Na osierocony tron kaprys koła elekcyjnego powołuje Sasa, — rozpoczyna się agonja wielkiego państwa, wspaniałego narodu, najświetniejszych tradycyj.

Walka o tron między Stanisławem Leszczyńskim a Augustem II, rozdarcie kraju na dwa zwalczające się obozy, najazd szwedzki, — te wszystkie okoliczności sprzyjają przedewszystkiem zaborczym planom Moskwy. Nie omieszka skorzystać z nich car Piotr Wielki. Dla rzekomego poparcia Augusta

i uspokojenia Rzeczypospolitej wkracza on w roku 1705 na Litwę, zajmuje Witebsk, Połock, zjawia się pod Wilnem — staje do udziału w wewnętrznej polityce państwa. Odczują, przed innymi, jego najazd unici, których prześladuje w sposób iście zwierzęcy, odczuje cała ludność łupiona bezlitośnie przez carskie wojska. W roku następnym car wkroczy zbrojnie na Wołyń, założy kwaterę w Żółkwi, skąd osobiście i przez posłów swoich, zwłaszcza ks. Dołgorukiego, rozpocznie szeroką akcję zjednywania sobie i Augustowi, który już był zrzekł się korony, panów polskich. W roku 1707-ym zjedzie osobiście na sejm do Lublina, by wpłynąć decydująco na jego uchwały. Rok 1709 widzi go w Toruniu na zjeździe z Augustem. Na sejmie warszawskim w 1710-ym rządzi już ks. Dołgoruki i rosyjskie złoto.

Konfederacja tarnogrodzka da carowi okazję do wystąpienia w roli medjatora i pacyfikatora, z czego skwapliwie skorzysta, narzucając stronom pod groźbą natychmiastowego wprowadzenia do stolicy wojsk rosyjskich, t. zw. ugodę warszawską (1716), rozbrajającą Rzeczpospolitą i wydającą ją na łup wrogów. Ugoda, zatwierdzona milcząco przez sejm t. zw. niemy, redukuje wojsko koronne do 16-tu i litewskie do 6-ciu tysięcy. Od tej chwili car traktuje Polskę jak kraj podbity, nie wycofuje z jej terytorjóy wojsk, ściąga z obywateli kontrybucje, łupi kupców, — kładzie stopniowo rękę na całem życiu państwa.

Następny zkolei Sas na tronie, August III, rozwinie z własnej inicjatywy plan rozbioru Rzeczypospolitej, będzie nim kusić dwory: rosyjski, austrjacki i pruski, a nie znajdując dostatecznego od-

poru w instynkcie moralnym i patrjotycznym panów i szlachty, zniszczy resztki tężyzny w kraju. W roku 1764-ym na tronie zasiądzie kandydat imperatorowej Katarzyny i powolny jej sługa Stanisław August Ciołek Poniatowski. Rządy krajem przejdą w ręce ambasadora moskiewskiego. Rezultatem ich będą rozbiory, tragiczne próby ratunku, akty spóźnionego heroizmu i długa noc niewoli.

Oto, w błyskawicznym rzucie oka, wymowa pięciu wieków doświadczeń w stosunkach polsko-rosyjskich. Od w. XV-go po XX-y snuje się zaborcza względem Polski polityka rosyjska; od wielkiego księcia moskiewskiego Iwana Wasiljewicza do wielkiego dyktatora moskiewskiego Iljicza Lenina — poprzez Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Katarzynę— płynie strumień tej samej, ciągłej, wytrwałej myśli politycznej: wlania treści kulturalnej rosyjskiej w serce Europy poprzez połkniętą i przetrawioną Polskę, Litwę i narody bałtyckie.

W dziejach prób urzeczywistnienia tego wielkiego zamierzenia — gdy chodzi o Polskę — łatwo dostrzec dwie jaskrawo odcinające się od siebie fazy.

Pierwsza z nich, krótsza w czasie, rozpoczyna się od Batorego i kończy na Żółkiewskim. Zaatakowana i zagrożona Rzeczpospolita uderza w serce Rosji, rozbija jej pychę siłą militarną, zjednywa politycznie, staje się dla znękanej — wewnętrznemi przez Borysów Godunowych, Szujskich i samozwańców sianemi rozterkami, oraz klęskami militarnemi i groźbą podboju przez Turcję — nadzieją ratunku; bojarowie i lud moskiew-

ski ofiarowują na ręce hetmana Żółkiewskiego koronę polskiemu królewiczowi, z jednym, pozostawionym dalszym układom, warunkiem, by przyjął prawosławie. Wzajemnie zaprzysiężona na Polu Dziewiczem pod Moskwą przez bojarów, duchowieństwo i lud rosyjski oraz przez Żółkiewskiego imieniem królewicza, „wielkiego Moskwy i całej Rusi kniazia i władcy“ umowa, umacniała ten dobrowolny ze strony Rosji akt oddania się pod opiekę potężnej Rzeczypospolitej.

Faza druga, narastająca powolniej, na przestrzeni dwóch wieków, ma początek w zmarnowaniu rozpędu pierwszej i zakończenie w triumfie Rosji, wespół z Austrją i Prusami, na ruinach państwa polskiego. Iwan Groźny mienił Batorego „królem w naszem dziedzictwie“. Nie przeczuwał, że tron jego ofiarowany będzie jeszcze polskiemu królewiczowi, i że perspektywy „dziedzictwa“ na chwilę odwrócą się całkowicie. Lecz imperatorowa Katarzyna nie bez słuszności fizycznej mieniła Stanisława Augusta „swoim“ królem i rządziła się w Polsce jak w swem dziedzictwie. Jej następcy tytułować się będą „królami polskimi“.

Wiek XIX-ty był, zwłaszcza po roku 1831-ym, niejako okresem stabilizacji zalewu, dokonanego przez drugą falę. Nie brakło wówczas i wśród Polaków, nawet wybitnych, poddających się nieszczęśliwej sugestji każdego pokolenia, że oto procesy dziejowe rozpoczynają się zawsze nanowo od nich i jakby na ich przyjście kończą swoje cykle. Nawet margrabia Wielopolski mniemał, że falowanie w procesie walki polsko-rosyjskiej skończyło się naszą ostateczną klęską i że realnemu politykowi należy wyzbyć się nadziei, by Polacy od-

budowali kiedykolwiek swą państwowość. Podobnie i dzisiaj daje się zauważyć w naszem społeczeństwie silna tendencja rozpoczynania historji Polski i wszystkich związanych z jej powrotem na scenę europejską procesów zewnętrznych, zwłaszcza, gdy chodzi o Rosję, od listopada 1918-go roku i rozstrzygania kwestji: co będzie jutro? — na podstawie rezultatów szlachetnej pracy stukania palcem o palec, a nie obserwacyj linji rozwojowych dziejów. Tymczasem pokolenie żyjące jest zawsze jak najmniej powołane do wydawania oceny o dziejowym charakterze przeżywanego przez nie fragmentu epoki: uczynić to będą mogli dopiero jego następcy, z perspektywy oddalenia na znaczniejszy dystans czasu. Dzisiaj nawet najnieudolniejszy polityk może z lekceważeniem spoglądać na realistyczne „systema“ polityczne Wielopolskiego, ponieważ stoi on wobec, tyleż prostego co wspaniałego, faktu — odbudowania państwa polskiego i pogrążenia się w głębie upadku Rosji. Podobnie wyglądać będą w przyszłości przemyślenia dzisiejszych polityków, czerpiących natchnienia z własnych przeczuć i wymyśleń, w czem zwłaszcza celują myśliciele ze szkoły Narodowej Demokracji.

Faktem jest, że po wieku XIX-ym, jak go nazwaliśmy, wieku stabilizacji upadku Polski, wiek XX-ty przyniósł równoczesną katastrofę państwom rozbiorowym, restytucję Polski wolnej i niepodległej, oraz natychmiastowy na nią najazd rosyjski.

Jak za cara Aleksego, przez dawne ziemie Litwy i Ukrainę wlały się na ziemie Rzeczypospolitej dwa strumienie zbrojnych zastępów rosyjskich, usiłując ją, jakgdyby dwoma ramionami, zamknąć

w pancernym uścisku i zdusić. Zabarwienie socjalne tego najazdu, niesione przezeń sztandary rewolucyjne, mają znaczenie ubocznych akcesorjów. Sam fakt najazdu, próba zniszczenia Polski, zanim zdoła ona okrzepnąć na gruncie zaledwo odzyskanej wolności, leży w linji tradycyjnej polityki rosyjskiej. Wypada przecież pamiętać, że bolszewiccy władcy Rosji nie byli pierwszymi, co chcieli wprowadzać „porządek" w Polsce. Uprzedził ich Piotr Wielki. On też robił „porządek" w zamęcie walki o tron między Leszczyńskim i Augustem II, a przy okazji tylko rozbroił Rzeczpospolitą. Rozbiory dokonane zostały również w imię obrony „porządku" w Europie. Niosąc na bagnetach czerwonej armji hasła zaprowadzenia swoich „porządków" w Polsce, Sowiety niosły stare hasło rosyjskiej polityki. Katarzyna wiązała się z królem pruskim i dworem austrjackim w imię „obrony swobód szlachty", Sowiety pragnęły bronić „praw proletarjatu polskiego". W pierwszym i drugim wypadku melodja jest ta sama, cel jeden, pobudki identyczne.

Kusząc w 1919-ym roku los, czerwoni dyktatorzy moskiewscy ulegają niewątpliwie sugestji doświadczeń wieków XVIII-go i XIX-go,—sukcesów oręża i polityki rosyjskich nad słabą, w następstwie rozdartą i zniewoloną, Polską. Kieruje nimi wiara w siłę trwania fazy dziejowej, rozpoczętej w w. XVII-ym. Respektując jej tradycyjne prawidła, szukają oni silnego sprzymierzeńca wewnątrz Rzeczypospolitej. W w. XVIII-ym była nim szlachta. Wygrywając jej przywiązanie do swobód, do liberum veto, obawę przed ukróceniem ich przez królów i możnych panów oraz uruchomia-

jąc korupcyjną siłę złota, — Moskwa mąciła uczucia patrjotyczne masy szlacheckiej, siała w jej łonie zamęt pojęć i rozbicie, niszczyła jej siłę. W roku 1919-ym, w rewolucyjnej atmosferze powojennej w Europie, najaktywniejszą siłą społeczną jest proletarjat. Sowiety apelują do niego, według recepty przepisanej przez Piotra Wielkiego i Katarzynę dla szlachty. Katarzyna daje szlachcie króla szlachcica, — Sowiety obiecują proletarjatowi pełnię władzy i to odrazu dyktatorskiej. Imperatorowa nie skąpiła ze swojej szkatuły sowitych pensyj swoim nobilitowanym zwolennikom — sam król jegomość z jej brzęczącej uprzejmości korzystał nierzadko, — Lenin nie żałuje złota na przekupywanie polskich proletarjuszy, fundusze na „propagandę" płyną szerokim strumieniem.

Stawkę na skorumpowanie i oszołomienie perspektywami fałszywych korzyści proletarjatu polskiego, Rosja bolszewicka przegrała całkowicie. Sceptycy co do wartości ruchu rewolucyjno-niepodległościowego w ostatniem ćwierćwieczu niewoli, owi jarmarcznego stylu katoni „narodowi", pomstujący po dzień dzisiejszy na „bandytyzm" aktów teroru z roku 1905-go i późniejszych, znajdą w tej klęsce katarzyńskiego systemu w bolszewickiem wydaniu dostatecznie chyba przekonywującą odpowiedź na swoje wątpliwości i często już poprostu naiwne brednie. W latach 1918—19—20-ym Odrodzona Polska zbierała słodkie owoce długoletniej pracy ideologów, wiążących aspiracje socjalne proletarjatu z uczuciami patrjotycznemi, z ideałem wolnego życia narodowego. Były te owoce niezmiernie istotnym wkładem w dzieło, co dla swych olśniewających efektów i skutków po-

wszechnie cudem nazwane zostało, w dzieło zwycięstwa.

Najazd rosyjski w roku 1920-ym wspaniale został przez Polskę odparty. Nietylko odparty. Rzeczpospolita nietylko oparła się potężnej, przynajmniej liczebnie, sile militarnej, nietylko obroniła istotę swej wolności, wyszła z wojny nietylko formalnie jako państwo wolne i niepodległe. Wyszła z niej jako państwo wielkie i — w terytorjalnem znaczeniu — silne. Wyszła z niej nietylko z honorem, lecz z wielkiem, wspaniałem zwycięstwem. Skończyła ją nie nad Bugiem i Sanem, lecz nad Dźwiną i Zbruczem. Osiągnęła w niej rozstrzygnięcie nie połowiczne i wątpliwe, od jakich roi się w historji wojen, lecz jasne, wykazujące jej niewątpliwą przewagę.

Stając nad Dźwiną Polska osłoniła dawne Inflanty, dzisiejsze państwa bałtyckie i Litwę, w której zabrakło potomków mężów stanu, co na próbę rozerwania związku Pogoni z Orłem Białym przez Iwana Groźnego, odpowiedzieli aktem unji lubelskiej. Zdobywając Kijów, a po utracie go z przyczyn mających źródło w ówczesnej niedojrzałości państwowej narodu ukraińskiego, kończąc wojnę za Zbruczem, na otwartej drodze do ponownego zawładnięcia stolicą Ukrainy, Rzeczpospolita umożliwiła Rumunji utrzymanie się przy osiągniętych zdobyczach, w każdym razie utrzymanie się bez wojny z Rosją.

Przed Polską, jak za Batorego, otwarta została możliwość prowadzenia wielkiej polityki wschodniej, do zrezygnowania z której namawiają nas tak namiętnie istni agenci rosyjskiej racji stanu, — politycy z obozu N. D.

Jest jasnem i oczywistem, iż w roku 1920-ym rozpoczęta została nowa faza dziejowa w stosunkach polsko-rosyjskich, analogiczna w swym charakterze i możliwościach do pierwszej, uprzednio scharakteryzowanej, fazy, uwiecznionej imionami Batorego i Żółkiewskiego. Początek trzeciej zwiąże historja z imieniem Piłsudskiego.

Nazywamy ją trzecią fazą dziejową, zamiast poprostu uznać w niej powracającą pierwszą, nietylko dla zadośćuczynienia prostej logice porządku arytmetycznego, lecz przedewszystkiem w świadomości, iż warunki oraz środki działania naszych czasów są kolosalnie odmienne od środków i warunków ze schyłku XVI-go wieku. Należy pilnie wystrzegać się przeprowadzania analogij historycznych poza kontury zasadnicze sytuacyj i ogólne linje ich perspektyw. Rzeczpospolita Piłsudskiego nie może oczekiwać nowego hetmana Żółkiewskiego, a już nie daj Boże, by nowy Żółkiewski miał doczekać swego Zygmunta III-go.

Celem naszym jest tylko uplastycznić wyobraźni obywatela olbrzymią doniosłość zwycięstwa, odniesionego w roku 1920-ym nad Wisłą, Wieprzem i Bugiem; kolosalne głębie perspektyw, jakie otworzyło ono przed Polską; obudzić świadomość że wielkich konjunktur nie wykorzysta nigdy naród pozbawiony ducha wielkiego, cnót niezłomnych. wiary w tych, co go ku wielkości prowadzą, pozbawiony energji i zrozumienia konieczności walki z wyuzdaniem prywaty, egoizmów. sobkostwa i namiętności, któremi zdawna grzeszyli Polacy i od których zginęły i wielkie dzieła oręża, i rozumu stanu, i wspaniałe konjunktury, i ludzie wielcy, i wreszcie Rzeczpospolita najmilsza zginęła.

NARÓD

III.

NARÓD.

Zostało już zauważone w naszem piśmicnnictwie politycznem, że poza t. zw. cudami w życiu narodu, kryją się zawsze ogromy ofiar, pracy, przeżyć i ludzkich mąk tworzenia, — pozostających niejako za kulisami olśniewającego, cudownego wydarzenia. Jest miarą szczerego zachwytu i wzniosłości uczuć przypisywanie takich wydarzeń zjawiskowych a epokowych Bogu; byłoby przecież miarą lekkomyślności zapoznawać bezcenną wartość ukrytych za ich kulisami dorobków i doświadczeń, odrzucać je jako zbyteczne akcesorja cudu, przemawiającego do wyobraźni bogactwem efektów jego szaty zewnętrznej.

Uczucia religijne nie doznałyby z tej przyczyny wzmocnienia i uszlachetnienia. Samowiedza narodu zaś poniosłaby dotkliwe straty; poczucie odpowiedzialności za własne losy i znajomość metod pracy nad ich pomyślnością, musiałyby pozostawać kopciuszkami w szeregu czynników, kształtujących postawę społeczeństwa wobec życia. Przesada w przypisywaniu siłom nadprzyrodzonym decyzji w rozstrzyganiu zasadniczych zagadnień życia narodowego, musi sprawić, iż postawa ta

stawałaby się coraz wyraźniej bierną, w szerszem znaczeniu tego słowa, bezczynną. Tymczasem należy wątpić, by ktoś zdołał wskazać w historji przykład cudu dodatniego w narodzie biernym wobec zjawisk i procesów jego życia, dających cudowne, nieprzeciętne rezultaty. Przeciwnie, t. zw. cuda kroczą zawsze śladem najwyższych wysiłków i doskonałych cnót ludzkich, jakgdyby sam Bóg pragnął pouczyć swoje ziemskie dzieci, iż wierzyć w Niego należy czynami, wydającymi wartości społeczne, a nie jeno uczuciem, zamkniętem w skorupie pasywizmu życiowego i egoizmu jednostki.

Cud zwycięstwa 1920-go roku, „cud Wisły“ jak go często tytułuje się w naszym kraju!

Jakżeżby nie miał być cudem widziany, bezprzykładny poryw ducha narodu, siłą pierwszego lotu z grobu wiekowej niewoli rozbijający, łamiący, niszczący, napór moskiewskiego najazdu i rozpościerający obszary swego władania daleko na wschód, obejmujący straż Rzeczypospolitej nad Dźwiną i Zbruczem? Czemże jak nie cudem wydawać się musi owo czarowne zjawisko wyrastania w owym czasie, jakby z pod ziemi, bataljonów, pułków, brygad, dywizyj i armij, szarego, pancernego, junackiego, rycerstwa, — z gleby, zdało się, przez obce najazdy wyjałowionej z pierwiastka rycerskiego? Czemże jak nie cudownem zrządzeniem opatrzności, w tej błyskawicy losów przełomu, Polska wyprowadza z katakumb swego życia prawdziwego — z wierzchu kamieniem niewoli przywalonego — wielkiego, władczego męża, co wolą niezłomną i wielkodusznością wszechobejmującą wszystkie źródła i źródełka, strumienie i potoki, pa-

trjotycznego zapału szlachetnego w narodzie połączy w jedną, majestatyczną rzekę wspólnego czynu, prowadząc go z irracjonalną, bo genjalną, drapieżnością hazardu do zwycięstwa, do chwały, do upojnego triumfu?

Cud! Cudów girlanda, — tysiące i tysiący dziesiątki, — cud w chłopcu z wioszczyzny cichej, zabiedzonej, co nagle jak zahartowany w bojach i w stal zakuty towarzysz z husarskiej chorągwi szedł na wroga tanecznym krokiem bohaterskiego zuchwalstwa; cud w matce, co go na bój śmiertelny krzepi, błogosławi, ojczyźnie ofiarowuje; cud w zahukanym pracą robotniku, co dzieci i żonę dla Ojczyzny odbiega, przecząc z karabinem w dłoni kłamstwom proletarjackich haseł bolszewickiego najazdu, i w tem wątłutkiem inteligenckiem pisklęciu-uczniaczku, co karabin z najwyższym dźwigając wysiłkiem staje się bohaterem na polu walki; i w tym chłopie z pod Mińska, Ostrołęki, Łomży, Kolna i tylu, tylu innych miast i miasteczek, co posmakowawszy chleba najazdu z kłonnicą i widłami towarzyszy zwycięskiej ofensywie wojsk naszych, pałając żądzą „pomsty, pomsty na wroga".

Cud się cudów maleńkich tysiącami mieni i w jedno łączy olśnienie. Zagrają o nim radośnie spiżowe uczuć tłumacze - dzwony kościelne. Śpiewać mu będą hymny radosne poetów lutnie i piosnki skrzydlate. Będzie go chwalić rzeźbiarz w marmurze, na płótnie malarz, w legendzie żołnierz a w modłach wszyscy, w czyich sercach żyje uczuć szlachetnych tęsknota i miłość. Sławić go będzie mały, bezimienny, żołnierz nieznany — ofiarą swą wielki: on, co dla Ojczyzny i cierpiał i ginął, — nie dla własnej sławy.

Łzami cud zroszą, by zbyć ciężar z serca, matki i żony tych, co nie wrócili. Lecz nigdzie wołań nie słyszysz o pomstę. Jak Polska wielka, długa i szeroka, nikt z tych co płacą bólem za zwycięstwo, nie wpada w rozpacz, iże darmo zginął sercu najbliższy, — mąż, ojciec, kochanek.

Cudu jasności wciąż się wokół snują...

O cudzie lata 20-go roku! — twojej melodji pragnie dumne serce, twojej wymowy łaknie rozum trzeźwy. Co mówisz cudzie, korono męczeństwa; słodka nagrodo za kajdan obelgi, na niezłomnego nałożone ducha; o polski, krwawy, pracowity, cudzie, — cudzie żywota na posiewie śmierci, straszny i groźny, jasny i wspaniały, — jakie cię siły zwiodły na tę ziemię, kto cię wymodlił, kogoś ty uwieńczył?

Czy ten co czekał ciebie na kolanach, bezczynnie ręce złożywszy na piersi, błagając Stwórcę, by go nie obarczał ciężarem próby tchórzliwego serca i ofiar brzemię ojczystej potrzebie, by najłaskawiej uchylił z bark jego, — czy ten co piersią orząc zagon polski, Bogu daw duszę a Ojczyźnie życie, ciemną się nocą skradał w stronę wroga, by mu zgotować klęskę niespodzianą. Czy ten co wszystkim złorzeczył i krakał, imienia Boga zwąc wciąż i Ojczyzny, by go sumienie własne nie przeklęło, — czy ten co z wiarą niósł własną ofiarę, w momentach trwogi zdwajając wysiłek, w potrzebie życia nie szczędząc i mienia; i czy ten wreszcie co tchórzliwie zlęknion bliskością wroga uciekał w kąt cichy, by snuć straszliwych losów przepowiednie i głów już szukać do kamienowania za ich bieg smutny, jeśli takim będzie, — lubo ten może, co pośród piekła śmier-

telnych zapasów niezłomnym duchem pokrzepiał miljony i cios gotował, co miał zbawić Polskę?

Rozstrzygaj — historjo!

I ty waż prawdę w swem sumieniu polskiem, nękany wrzawą namiętności niskich, obywatelu Rzeczypospolitej. Prawdzie tej pozwól owładnąć myślami i niechaj uczuć Twoich będzie panią, bo z niej zrodzone natchnienia i czyny będą Ojczyźnie zawsze pożyteczne, jak dobre ziarna siane w dobrą glebę. Więc chodź posłuchać, co do nas cud mówi.

. . . .

Trzeba zaznać głodu, by odczuć niebiański smak zdobytej skibki chleba. Trzeba przeżyć furję piorunowych burz, by ocenić szczęście pierwszego promyka słońca. Trzeba żyć długo podwójnem życiem: wolnem w katakumbach, niewolnem na ziemi, — by odczuć aż do najgłębszych tajników duszy potęgę misterjum, gdy wychodząca z katakumb wolność poczyna pokonywać niewolę na ziemi. Trzeba wreszcie grozy wspaniałej a silnej, by w naturze człowieczej odezwało się bohaterstwo i wyrywając go z objęć powszedniości, poniosło ku wyżynom uczuć odświętnych, by szala umiłowania wartości idealnych i dobra powszechnego — narodowego czy ogólnoludzkiego — przeważyła ciężar całego światka osobistych, egoistycznych, przywyknień, pragnień, trosk i radości.

Tych wszystkich prób i doświadczeń nie brakowało nam w dobie dziejowej wyzwalania się Polski. Nie brakowało. Wszystkie złe i wszystkie dobroczynne moce, wywracające świat codzienności

i uczucia, i instynkty ludzkie, zbiegły się na zagony polskie i między naród piastowy, gdzie odbywał się najwspanialszy, najradośniejszy wymiar dziejowej sprawiedliwości. Po nieskończenie długiej ponurości niewoli — zjawił się promień słońca wolności. Po straszliwych burz zniszczeniu — nadzieja błogiego odpocznienia i strat naprawy. Po długim ucisku i panowaniu niesprawiedliwości — pewność krzywd zadośćuczynieniem nagrodzenia.

Duszę polską porwała w ramiona radość przeogromna i napełniła ją szlachetnością. Chciałoby się powiedzieć, w odruchu szczerości, iż Polacy w owych dniach byli najlepszymi Polakami w ostatniem dziesięcioleciu. Albowiem zespalała ich i przepajała wspólnota porywu wielkiego uczucia patrjotycznego, które przez poczucie wspólnego szczęścia i jednoczesnego tego szczęścia zagrożenia, wzmacniało więzy solidarności, omal jednomyślności i gotowości do ofiar, niecierpliwości czynu patrjotycznego.

Oto było pierwsze źródło cudu roku 1920-go, pierwsza siła, co go wyczarowała z krwawego dzieła wojny.

To nic, że znaczne jeszcze wówczas masy narodu pozostawały początkowo jakgdyby w stanie odrętwienia, umęczenia i oszołomienia kalejdoskopem potężnych zjawisk, że stopniowo dopiero wlewały się w nowy, porywisty nurt nowego, wolnego, życia. Leżało w logice skali przemian, w oszałamiającej kolosalności momentu przekraczania przez naród wielki rubikonu między niewolą i wolnością, że odczucie żywej treści tego aktu dziejowego i reakcja uczuciowa, jaką ona

wywołuje, szło stopniowo od wierzchołków — niepodległościowych bojowników, poprzez zapalną młodzież, warstwy oświecone aż ku spodom masy narodowej.

Ważnem jest tylko, że od pierwszej chwili ponownych narodzin Rzeczypospolitej, aż do — mniej więcej — ukończenia sprawy z Rosją, omal cały żywy, aktywny, element w narodzie ogarniony był wspólnem co do tonu i treści uczuciem patrjotycznem i wspólnemi cnotami karności i ofiarności.

Szybkie skonstruowanie i uruchomienie całej maszynerji życia państwowego stało się możliwe tylko dzięki tej okoliczności. W pojęciu prawnem samozwańcza, pierwsza władza państwowa otrzymała natychmiast sankcję całej części aktywnego społeczeństwa. Wszystkie jej nakazy były — dobrze czy źle—lecz niezwłocznie wykonywane. Siła tych nakazów była tak wielka, że na ich wezwanie obywatel dobrowolnie przywdziewał mundur i szedł w bój, kładł życie na polu walki, spełniał rozliczne — nieraz ciężkie — posługi dla dobra publicznego. Ta władza zdecydowała w zasadniczych zarysach o porządku ustroju naszego życia państwowego i decyzja jej w tym względzie została przyjęta i wprowadzona w życie. Społeczeństwo zastosowało się do wydanych przez nią ustaw, przyjęło zawarte w nich reformy, wybrało sejm.

Ten sejm rozpoczął swą działalność od jednogłośnego prawnego ulegalizowania tej władzy, w szerokim zakresie jej zwierzchnich politycznych i wojskowych kompetencyj. Powszechny nastrój kraju stłumił wszelkie stronnicze porywy i rachuby frakcyj parlamentarnych. Narodowi-Demo-

kraci, ożywieni pragnieniem narzucenia krajowi, w charakterze rządu, paryskiego Komitetu Narodowego z Dmowskim na czele, głosowali w sejmie za Piłsudskim.

Zwycięstwa oręża dawały szerokie zadośćuczynienie ponoszonym ofiarom i piękną nagrodę patrjotycznym cnotom narodu. Trzymały one też na uwięzi stronnicze ambicje i intrygi, które miały odezwać się przeciągłym sykiem w momencie niepowodzeń wojennych, a wybuchnąć pełną siłą dopiero w warunkach bezpieczeństwa zewnętrznego i bezkarności wewnętrznej, po zwycięstwie. Narazie przecież wyzwolenie Lwowa z opresji ruskiej — zagrobowego daru wstrętnej polityki austrjackiej na terenie Małopolski wschodniej — zdobycie Wilna, Polesia i Wołynia, zmuszały je do milczenia.

Kryło się atoli w tych zwycięstwach niebezpieczeństwo innego rodzaju, a mianowicie, iż — z jednej strony — budziły one nieco przesadne wyobrażenie o potędze militarnej Rzeczypospolitej, a przeto nadmierne poczucie bezpieczeństwa, a tem samem zbędności dalszych ofiar na wojnę, oraz, ze strony drugiej, odsuwając front bojowy na dalekie peryferje państwa rozluźniały kontakt spokojnego i bezpiecznie się czującego kraju z walczącym żołnierzem, a nawet sprzyjały szerzeniu najgłupszej pod słońcem propagandy, iż właściwie dalsze prowadzenie wojny nie jest uzasadnione żadną koniecznością i że należy jak najśpieszniej zawierać pokój. Nie było już nic łatwiejszego nad dorobienie do tej koncepcji teorji o dobrej woli moskiewskich dyktatorów ofiarowania Polsce wspaniałego pokoju na najdogodniejszych dla niej

warunkach. a to zapewne — według mniemania autorów tej teoryjki — w myśl programu rozwalenia burżuazyjnej Europy. Ta propaganda miała doprowadzić do próby nawiązania z Moskwą rozmów na temat pokoju, oczywiście bezskutecznej.

Olśniewające efektami: militarnym i politycznym, wzięcie Kijowa, nawiązujące do najwspanialszych tradycyj Rzeczypospolitej, przyjęte przez kraj cały wybuchem najwyższego entuzjazmu, zostało naogół zdyskontowane jako podnieta do radosnego używania życia, czemu sprzyjała obfitość łatwo zdobywanego pieniądza i tradycyjna polska lekkomyślność. W hucznych zabawach, na które środki dostarczała często spekulacja; w rozwiązłości życia erotycznego, rozbijającej rodzinę; w grach hazardowych, — znalazła sobie ujście reakcja po paroletnich przeżyciach wojennych oraz fala zepsucia obyczajów i podważenia szacownych kanonów moralności, idąca przez cały omal świat, a w każdym razie przez wszystkie państwa i narody, uczestniczące w wielkiej wojnie.

W tym momencie i w takich warunkach miało przyjść nagłe, ostre przebudzenie pod postacią pomyślnej ofensywy sowieckiej, a które miało dowieść, że, mimo lekkomyślności, zapał patrjotyczny narodu nie był słomianym ogniem, że żywie w nim olbrzymia wartość, bez której nie do pomyślenia byłby cud sierpniowy, a mianowicie — tężyzna ducha.

Nie trzeba się obawiać przesady w podkreśleniu tej bezcennej cnoty, ujawnionej przez wojsko i naród w owych dniach śmiertelnej próby, a która w tym jak i w każdym innym wypadku spra-

wia, iż jednostka i zbiorowość stają się zdolnymi do przezwyciężenia przeszkód i niepomyślnych doświadczeń losu, podporządkowując dzięki niej swój los swojej świadomej woli, w granicach oczywiście ludzkich sił i możliwości.

Kreślenie obrazu grozy zbliżającej się ku sercu kraju fali najazdu, wydaje się być zbytecznem, wobec świeżej tych chwil tragicznych pamięci. Wystarczy, by każdy obywatel, zwłaszcza części kraju położonej na wschód od królowej naszych rzek, odwołał się do swych wspomnień osobistych, a bez pomocy słów ogarną nas wspólne uczucia. Nie jest też naszą rzeczą dociekać psychicznych pobudek, które sprawiły, iż zepchnięty ze swych dalekich wschodnich wedet żołnierz polski, poddawał się czasami łatwo naciskowi nieprzyjaciela. Również nie do nas należy badać i oświetlać błędy strategiczne, popełnione przez dowódców różnych części bojowego frontu, chociaż niektóre z nich nawet laikowi rzucają się jaskrawo w oczy.

Oczywiście, iż — na co wskazaliśmy już uprzednio — rozluźniający się kontakt między społeczeństwem a walczącym żołnierzem i szum zabawy dochodzący z głębi kraju głodnawego często i bosego nierzadko żołnierza, nie mógł pozostawać bez wpływu na jego psychikę i zapewne osłabił jego zapał bojowy. Lecz zamiarem naszym jest uwypuklić ten moment, kiedy zarówno żołnierz, jak i naród, zdołali — dzięki natężeniu sił duchowych — opanować trwogę, wzbudzić w sercach wiarę w powodzenie własnego oręża i zadać przeciwnikowi stanowczy, skuteczny, zwycięski cios.

Na dalszych stronicach mówić będziemy o niezapomnianej roli, jaką w tej mobilizacji sił du-

chowych narodu odegrał genjusz i duch Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa. Można, nawet wykluczając moment uczuciowy z oceny jego zasług, a opierając się jedynie na doświadczeniu historycznem i przesłankach czysto rozumowych, powątpiewać, czy wogóle bez niego lub innego ducha jego wymiarów, ta mobilizacja byłaby przeprowadzona w stopniu niezbędnym do zwycięstwa. Ważnym jest wszakże wskaźnikiem walorów drzemiących w naszym narodzie i tytułem do sławy fakt, że apel do sił duchowych w momencie najwyższej trwogi i olbrzymich materjalnych trudności sprostania potrzebom walki, nie pozostał wołaniem w próżnię. Że przedewszystkiem żołnierz, który odbył sześćset kilometrowy marsz odwrotowy z pod Połocka pod Warszawę, spojrzawszy w oczy Wodza, wykonał w tył zwrot i pomaszerował zpowrotem nad Dźwinę, w marszu zycięskim. Że za nim, dotkliwie pouczone, poszło społeczeństwo z objawami serdecznej opieki i ofiarami, których wartość moralna przewyższała zapewne materjalną, lecz nie pozostała bez ogromnego znaczenia dla dzieła zwycięstwa.

Oczywiście nie brakło wszelakiej brudnej piany tchórzostwa, małoduszności i sobkostwa, występującej i w tym momencie, tu i ówdzie, na fizjognomji duchowej narodu. Świństwo, jak świat długi i szeroki, i jak ludzkość stara, zawsze służy za tło cnotom, — żaden naród wielki nie zdoła uwolnić się odeń całkowicie, zwłaszcza w momentach przełomowych, kiedy już sam brak cnoty rodzi zdradę interesów publicznych. Dlatego też nie umniejsza ono faktu, iż kiedy cały omal świat bolał lub cieszył się nad „zgubioną“ Polską, gdy

komunizujące zespoły robotników w niektórych krajach niejako dyskontowały już ten fakt, odmawiając transportowania amunicji dla naszych wojsk przeznaczonej, a niektóre niemieckie czynniki społeczne zdążyły już ogłosić o upadku Warszawy — Rzeczpospolita, za sił duchowych swego Narodu i genjuszu Wodza przyczyną, wiekopomne nad Moskwą odniosła zwycięstwo.

Cnota siły ducha, sprawiająca, iż naród przepojony uczuciami patrjotycznemi odruchowo zajmuje aktywną postawę wobec trudności każdorazowego zadania bytowego, przeciwstawiając im upartą wolę zwycięstwa poprzez nieuniknione — takie lub inne — ofiary, jest wykładnikiem jego witalności państwowej i zdolności do rozbudowy swego życia wolnego. Niemcy, ci, którzy przez szereg lat z tępą cierpliwością proklamowali sezonowość państwa polskiego odrodzonego, oraz panowie z moskiewskiej międzynarodówki, co wierzyli święcie, iż przy pomocy korupcyjnego pieniądza uda się wywołać w Polsce przewrót w stylu bolszewickim, jedni i drudzy nie zrozumieli ideowych walorów cudu sierpniowego. Chcieli oni, za przykładem naszej pseudo-katolickiej kołtunerji widzieć w nim ów przysłowiowy w naszym kraju przypadek, który sprawia, iż nawet ślepa kura znajduje czasami ziarno. Tymczasem siła ducha, kierowana przez miłość wolności i ojczyzny, która sprawiła cud sierpniowy, jeśli będzie należycie kultywowana i rozwijana przez przewodników narodu, wskazuje oczywiście, iż Polacy znajdują się zaledwo u progu rozwoju i ekspansji sił państwo-twórczych i że tylko głupkowaci szaleńcy

mogą snuć projekty jakichkolwiek na Polsce podbojów.

Najazd moskiewski obudził w naturze polskiej lwa. Usłużna aneksjonistyczna z zachodu i rewolucyjna ze wschodu propaganda sąsiedzka utrzymuje go w nieustannej czujności. A tylko bardzo już naiwni w zacietrzewieniu obserwatorzy mogą nie dostrzegać, iż w ubiegłem dziesięcioleciu mięśnie polskiego lwa stężały i rozwinęły się poważnie, pazury wyrosły i stwardniały. Oto leży spokojnie czujny, dobrze usposobiony do całego świata i wierny w przyjaźni z każdym przyjacielem. Lecz biada, gdy go ktoś do walki zmusi, gdy ktoś ośmieli się wsunąć zachłanną rękę na obszary jego gospodarstwa. Wówczas obudzi się w nim szaleństwo miażdżącej potęgi obrony i każdy napastnik przekona się, iż w narodzie naszym żyją siły, co stwarzają cuda.

. . . .

Działały w roku 1920-ym i inne jeszcze wartości, co zwycięstwu ostatecznemu otwierały drogę. Wśród nich wyróżnić należy tę, co była nowością w dziejach Rzeczypospolitej, a co wypływała ze zrównania w obliczu praw, przywilejów i obowiązków, wszystkich stanów narodu, żadnych nie pozostawiając parjasów, a więc z ufundowania odrodzenia narodowego na duchu demokracji. Wprawdzie już pan Naczelnik Kościuszko, na znak, iż wolą jego jest nadanie pełnych praw obywatelskich włościaństwu, sam chłopską przywdział sukmanę i „braci włościan“ do usłużenia ojczyźnie na polu bitwy — ku wielkiej ich sła-

wie — wezwał. Aliści nie znalazłszy zwycięstwa w wojnie, warunków urzeczywistnienia swej woli rozumnej nie doczekał, a po nim ani mężów wielkich, ani fizycznej możności ujawnienia swego ducha społecznego Polska niewolna, wsprzęgnięta w rydwany obcej woli i interesów, nie posiadała.

Ruch niepodległościowy ostatniego ćwierćwiecza niewoli zastał rozbitków i niedobitków szlachty w stanie niezdolności do wydobycia z siebie energji walki z najazdem. Mieszczaństwo, przeważnie ciemne i kołtuńskie, a przeto lękliwe, pasywne, ugodowe, było naturalną arjergardą w ryzykownem przedsięwzięciu czynnego buntu. Natomiast napewno olbrzymiej, choć nieznanej jeszcze, wartości źródła sił tkwiły w masach ludowych i robotniczych.

Decyzja uruchomienia ich dla celów walki o wolność i odbudowy państwa polskiego była prosta, jak każda decyzja wielka. Natomiast realizacja jej łatwą nie była, łatwą być nie mogła. W masach włościańskich żyła tradycja krzywdy, doznawanej od szlachty w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej i pamięć politycznie podstępnego poparcia, otrzymywanego od rządów zaborczych, zwłaszcza rosyjskiego i austrjackiego, w walce z „dziedzicami". Klasa robotnicza, wyłaniana w głównej masie przez wieś, reprezentowała ten sam stan uczuć socjalnych i skojarzeń politycznych, a ulegając z upływem czasu i wzrostem uświadomienia klasowego potrzebie poszukiwania środków obrony przed wyzyskiem ze strony kapitału, poczęła snuć, łącznie z proletarjatem innych krajów, marzenia o walce socjalnej i mglisto pojmowanej „przebudowie świata" na zasa-

dach dyktatury jakiejś, jeszcze bardziej niejasno pojmowanej, „międzynarodowej solidarności" proletarjatu. Ta perspektywa rozwiązania politycznej struktury świata po linji zaspokojenia socjalnych i politycznych aspiracyj klasy robotniczej, czyniła sprawę losów Polski jakgdyby zagadnieniem podrzędnem, znajdującem uboczne rozstrzygnięcie w wielkim planie marksistów. Rozwinięta została nawet teorja, iż podnoszenie sprawy niepodległości Polski, jako zagadnienia samego w sobie, jest wręcz szkodliwe dla realizacji powyższego planu.

Złączenie uczuć socjalnych klasy robotniczej i włościaństwa z ideą narodową, z ruchem wolnościowym, z rewolucją patrjotyczną, było wiekopomną zasługą ruchu niepodległościowego, związanego z imieniem Piłsudskiego. Ziszczenie tych nadziei, dzięki przelanej krwi i zasługom w walce z najazdem przeistoczonym w niewątpliwe prawa, było dziełem rozumu politycznego odradzającej się Polski, również związanem z imieniem Piłsudskiego.

Dzięki tej polityce Rzeczpospolita znalazła mocne oparcie w szerokich masach ludowych i robotniczych. Wolność, która się stała ich wolnością, rozbudziła najgorętsze uczucia patrjotyczne, zapał stawania w jej obronie, w obronie ludowej i robotniczej nowej Polski.

W szeregach początkowo ochotniczej, później normalnie rekrutowanej armji, triumfuje zbratanie się wszystkich stanów w obliczu walki z najazdem. Robotnik, co w walkach legjonowych dosłużył się pięknie oficerskich gwiazdek, dowodzi inteligentami. rzemieślnikami, włościanami. —

gdzieindziej dowodzi oficer-chłop, — ówdzie pod wodzą szlachcica idzie w bój robotnik. Nikt nikogo o pochodzenie nie pyta, nikt nikomu indygenatu nie szuka; demokratyczne żniwo śmierci za ojczyznę ma odpowiednik w udemokratycznieniu zasługi zwycięstwa demokratycznego wojska. Cały naród, od wszystkich szczytów ku wszystkim dołom, we wszystkich przekrojach, wyłania z siebie zbrojne zastępy, co osłaniają przed najazdem Polskę; cały naród, całym wydobywalnym w danej chwili zasobem sił moralnych i materjalnych wspiera ruchomy wał bojowego frontu.

Zwycięstwo odnosi Polska zbratana wewnętrznie i porównu dla wszystkich swych dzieci sprawiedliwa, Polska demokratyczna.

Więc cnocie zbratania, równości, wzajemnej ufności obywatelskiej należy dziś złożyć hołd uroczysty, albowiem ma ona wielką część zasługi w zwycięstwie, w cudzie sierpniowym 20-go roku.

Obok niej postawić należy tyle ważkie dla losów walki z najazdem, a w roku 20-ym czynnie zadokumentowane, poczucie jedności państwowej Polaków, z zaledwo po długiej rozłące połączonych dzielnic. To poczucie nierzadko niebezpiecznie przygasało w Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ciasne horyzonty ogarnięć i zainteresowań, pokrywające się z granicami poszczególnych ziem czy województw, sprawiały, iż masa szlachecka mało przejmowała się dalekiemi niebezpieczeństwami, wojnami toczonemi przez Rzeczpospolitą na dalekich wschodnich peryferjach jej rozległych terytorjów. Najazdy tureckie, tatarskie i kozackie na Ruś Czerwoną małe częstokroć bu-

dziły zainteresowanie w centralnych i zachodnich ziemiach państwa, gdzie je najchętniej lekceważono, za sprawę domową panów i braci ruskich uważano. Podobnie najazdy szwedzkie i moskiewskie na Inflanty nie wywoływały poczucia zagrożenia, jeśli nie budzili go z drzemki ludzie tej miary co król Stefan i kanclerz Zamoyski.

W naszych czasach objawy podobnej lekkomyślności i krótkowzroczności dały się zauważyć na schyłku 1919-go i na początku 1920-go roku, w okresie, gdy — jak to już zauważyliśmy — oddalenie się i niejaka stabilizacja frontu bojowego na linji głęboko ku wschodowi wysuniętej zrodziły przedwczesne w kraju poczucie bezpieczeństwa i skłonność do używania żywota miłego. Lipcowa ofensywa moskiewska atoli miała stwierdzić, iż, pod pianą lekkomyślności, Polacy przejęci są poczuciem jedności państwowej, wypływającem ze zrozumienia tej — mającej zastosowanie do wszystkich okoliczności — prawdy, iż zaniedbanie lub zagrożenie części terytorjalnych państwa, musi mieć skutki dla jego całości i że z lekceważenia takich zaniedbań i zagrożeń muszą wyrastać tylko złe dla całości następstwa.

Podejmowane wówczas przez niektóre czynniki polityczne haniebne próby wywołania uczuć separatystycznych w dzielnicach zachodnich państwa, rozbiły się o zdrowy instynkt jedności, drzemiący w masach obywateli.

Cud sierpniowy został dokonany siłami całego, zjednoczonego w dziele orężnej obrony, narodu.

. . . .

Oto wymowa naszego cudu dziejowego.

Czyż trzeba, po tem co się powiedziało, podkreślać, iż nie powstał on z próżni, z eterycznych przestworzy boskiego gospodarstwa, z podmuchu wiatru lub ze słońca łaski, — lecz z realnych, zamienionych w czyn, w wartości praktyczne i materjalne, cnót narodu; z gatunku dokonanego przezeń wysiłku, ze szczodrości ofiarowanego ojczyźnie życia i mienia i krwi? Że za tym cudem, poza olśniewającą jego godową szatą zewnętrzną, jak za każdym cudem dziejowego znaczenia, kryje się bezmiar ludzkiej męki, wysiłku, wyrzeczenia, ofiary i szlachetności? I że dzisiaj, jak i zawsze w przyszłości, naród, by ziścić wielkie, ku wspólnemu dobru powzięte, zamierzenia; by ojczyźnie siłę a sobie pomyślność zapewnić, na każdem polu działalności, — te same co w roku 20-ym przyzywać będzie musiał ku pomocy cnoty?

Dorobek lat dziesięciu życia w wolności i pokoju, zdobyte doświadczenia w dziedzinie życia i pracy społecznych oraz wspaniałe postępy oświaty powszechnej, czynią umysłowość szerokich mas narodu zdolną do odczytania w układzie faktów i przyswojenia sobie tych prawd prostych a podstawowych. Wystarczy pilnować, by jej nie podsuwano do odcyfrowywania faktów fałszywych, ku czemu, przy niskim poziomie etyki wśród namiętnie konkurujących ze sobą bakałarzy partyjno-politycznych, wiele daje się zauważyć u nas skłonności.

Do najbardziej zaś kuszących wszelakie fałszerstwo, czynników decydujących o cudzie sierpniowym, należy zaiste wspaniała rola Wo-

dza i Naczelnika, Józefa Piłsudskiego. Należy jej przeto poświęcić nieco uwagi, kryje ona bowiem w sobie dwa problemy: zasługi żywego człowieka i stosunku narodu do władczej indywidualności, z których ten drugi problem ma swoją historję w naszej ojczyźnie.

dem i Naczelnika, Józefa Piłsudskiego. Należy jej przeto poświęcić więcej uwagi, kryje ona bowiem w sobie dwa problemy: zasięgu każdego człowieka i człowieka narodu do Władzy nad indywiduo-ści z których ona [illegible] problem ona swoją umie-[illegible] tę w narodzie istniejące.

W Ó D Z

IV.

WÓDZ.

Obeserwatora naszych stosunków w okresie odrodzenia politycznego musi niewątpliwie zastanowić ten fakt, że człowiek, któremu cały naród w świadomej masie i osobach politycznych reprezentantów powierzył spontanicznie, widząc w nim męża opatrznościowego, olbrzymią nad sobą władzę: w dziedzinie urządzania wyłaniającego się z chaosu burzy dziejowej państwa i szafowania jego krwią w walce z najazdem moskiewskim, — że ten człowiek, z chwilą, gdy pokładane w nim nadzieje wspaniałe uwieńczyło oręża i ducha organizacyjnego zwycięstwo, gdy trwoga minęła, stał się celem morderczej kampanji wszelakiego oszczerstwa i niskiej podłości, prowadzonej początkowo przez prawe skrzydło partyjnego frontu, przy proteście ze strony lewego, później przy milczącej tego ostatniego aprobacie, a wreszcie przy jego żywem współdziałaniu. Cnota, nie po raz pierwszy w dziejach naszego narodu, kapitulowała.

Wszelka argumentacja na obronę tego zjawiska, ma posmak dżentelmenerji owego — dość pospolitego u nas typu — przyjemniaczka, co to

korzystając w chwili życiowej trwogi i zakłopotania z czyjejś pomocy,później obgaduje w najstraszliwszy sposób swego dobroczyńcę, by pozbyć się zobowiązań wdzięczności lub, tem więcej, obowiązku zwrotu otrzymanych walorów materjalnych.

W stosunku masy do jednostek przywódczych, narodu do wielkiego męża, — co dzięki drzemiącemu w jego duszy bohaterstwu i heroizmowi, w okolicznościach szczególnych, wzniósł się ku wyżynom genjalności, narodowi niespożyte oddając usługi, — moment wdzięczności może ostatecznie małą odegrywać rolę. Nie świadczy to wprawdzie o szlachetności środowiska, o delikatności i głębi uczuć, zawsze cennych i zawsze jak najlepiej rekomendujących je przed światem i historją. Lecz ostatecznie możnaby sobie wyobrazić środowisko społeczne, tak dalece pochłonięte walką o byt i bezuczuciowe, że nie stać go na wdzięczność, przynajmniej nie stać w danej chwili, w danym momencie rozwojowym.

Natomiast bardzo już trudno wyobrazić sobie naród, niszczący — w najcięższych okolicznościach odbudowującego się zaledwo wolnego życia — walor tak niezastąpiony, jakim jest mąż uosobiający wzniosłe uczucia i siły w narodzie, a dzięki związanym z jego imieniem zwycięstwom i powodzeniom, rozporządzający siłą skutecznego apelowania do wiary i tężyzny ducha, w walce z kłopotami życia i doświadczeniami losu.

Jest coś już nietylko niecnego lecz i głupiego w kamienowaniu najwznioślejszych emanacyj ducha i genjuszu narodowego, upostaciowanych w żywych kształtach wielkiej jednostki.

Na szczęście tych ciężkich zarzutów nie można postawić narodowi, który w masie swej okazuje w stosunku do Piłsudskiego i serce i rozum. Odnoszą się one natomiast do naszej elity polityczno-partyjnej, a to zjawisko niecnego stosunku politycznej elity do wielkich wodzów nie zdziwi żadnego znawcy naszej historji narodowej, — jest ono prezentem Rzeczypospolitej szlacheckiej, przekazanym Odrodzonej poprzez niewolę, nawet wraz z motywacją, w stanie — jeśli się tu można tak wyrazić — natychmiastowej używalności.

Elita szlachecka w wiekach XVI-ym i następnych rozciągała swoich wielkich na łożach tortur moralnych — w imię „wolności" szlacheckich, a współczesna nam elita mieszczańsko-proletarjacko-ludowa czyni to samo w imię „wolności" ludowych. Siła wynalazczości naszych zoilów partyjnych podwórek w uzasadnieniu swego po wsze wieki haniebnego stosunku do Piłsudskiego, nie była, jak widzimy, zbyt wielka. Urodziła ona najfałszywszą pod słońcem teorję, że demokracja nie może się pogodzić z egzystencją polityczną wyrastających ponad przeciętność władczych jednostek, a to z przyczyny, iż duch demokracji jakoby zaprzecza prawa istnienia oryginalnym, wybitnym, twórczym i przeto samoistnym indywidualnościom i to — rzecz szczególna — tylko w dziedzinie życia politycznego i społecznego. Bo już do sztuki i nauki, ta swoiście zaściankowa demokracja i ten jej duch zatabaczony i dziwnie kretynowaty, pretensji sobie nie rości. Przysięgły obrońca takiego ducha takiej demokracji niema jakoś pretensji do Pasteura, zato, że zmusił

wszystkie sejmy lekarzy do przyswojenia sobie nowych metod pracy; ani do Einsteina, że zburzył spokój sejmu matematyków; ani do Picasso, za rewolucję w sejmie malarzy, ani też do reformatorów w innych dziedzinach nauki i sztuki. Lecz każda próba zakłócenia, przez twórcę w dziedzinie organizacji życia społecznego i politycznego, spokoju sejmowi posłów, instytucji nawskroś dyletanckiej, jest natychmiast piętnowana jako zbrodnia przeciwko „wolności ludu" i „demokracji". Z tego wynikałoby logicznie, że demokracja jest urządzeniem, dopuszczającem postęp w dziedzinie cywilizacji i kultury, lecz stanowczo wzbraniającem go w organizacji życia społecznego i politycznego, bowiem postęp nigdy i nigdzie nie był dziełem arytmetycznych większości narodów i ich emanacyj reprezentacyjnych; tworzyły go i narzucały twórcze jednostki i energiczne mniejszości.

Oczywiście nic głupszego nad próby podobnego karykaturowania demokracji. Zadaniem jej bynajmniej nie jest stabilizacja dyktatorjalnych praw miernej przeciętności i ścinanie głów ponad nią się wychylających. Demokracja również nie zawiera zaprzeczenia praw narodu, — zagrożonego w rozwoju przez nieporadność w wielkich sytuacjach czy prywatę i niegodziwą zarozumiałość owej miernej przeciętności, — do szukania ocalenia w powierzeniu kierownictwa swemi sprawami dzielnej mniejszości lub zgoła genjalnej jednostce. Ginąć w imię fałszywie pojmowanej demokracji, byłoby czynem również głupim i hańbiącym, co ginąć w imię „wolności szlacheckich", a co z taką smutną brawurą i rozpaczą za-

razem uczynili nasi kontuszowi przodkowie na długawej przestrzeni XVIII-go wieku.

I w rzeczywistości, demokracja i jej duch równości szans życiowego dorobku jednostki i warstw społecznych, nie ma najmniejszego udziału w interesującem nas zjawisku niecnego stosunku elity polityczno-partyjnej do Piłsudskiego. Podstępnie tu wciągniętą i nadużytą, należy uwolnić od towarzystwa niskich instynktów i niedorosłych teoryjek. Niechaj pozostaje ideałem sprawiedliwego rozstrzygnięcia zawiłego problemu życia społecznego, do którego wszyscy myślący i rozważni obywatele cywilizowanego świata staramy się nieustannie zbliżać, znajdując we wspólnocie tego wysiłku silne węzły pokrewieństwa, sprawiające, iż ludzkość, dzielona — przez rozliczne jeszcze antagonizmy — co chwila na walczące obozy, powraca do współżycia i zawsze skłonna jest, w szlachetniejszej swej części, do budowania przyszłości na wzajemem zaufaniu.

Wytłumaczenia interesującego nas zjawiska należy szukać — jak już zauważyliśmy — w historji, nie w doktrynach. Z punktu widzenia doktryny, można nie podzielać cudzych myśli, także podejmować z niemi walkę. Gdy zaś walka staje się zasadą, niecność jej form stałą metodą, a doktryna tylko dla całej tej obrzydliwości parawanem, — jest to już tylko kwestja charakteru, w głębszem ujęciu, sprawa uprawy kulturalnej dusz i umysłów danego środowiska.

Tej uprawy elicie politycznej nigdy nie dostawało w Rzeczypospolitej szlacheckiej, nie dostaje i obecnej. Łoże tortur zjawiało się zawsze, gdy na scenę zrządzeniem losu występowała jednostka

heroiczna i genjalna, z pragnieniem Rzeczypospolitej z opresji salwowania, zbrojna w siłę ducha ku zawróceniu narodu z drogi upadku.

Genjalny król, Stefan Batory, co w najofiarniejszych i najskwapliwszych Rzeczypospolitej służbach, przezwyciężając bierność powszechności szlacheckiej i opory swarliwych i intryganckich sejmów, złamał i upokorzył Iwana Groźnego, przywracając siłę i świetność państwu, — był bez miłosierdzia torturowany. Powiada o nim Mickiewicz: „Nigdy żaden monarcha nie był równie jak on oczerniany przez swoich poddanych. Rozsiewano o nim haniebnie wieści, wymyślano najniedorzeczniejsze posądzenia. Kiedy z własnej swojej szkatuły dobywał ostatnich zapasów na potrzebę Rzeczypospolitej, gadano jakoby prowadził wojnę w tym celu jedynie, aby się wzbogacić, a potem uciec z Polski. Obok tego posądzano go, że starał się zmienić swoją władzę w nieograniczoną i ustalić dziedzictwo korony, chociaż był bezdzietny i nie miał komu berła zostawić. Posłowie zmawiali się nie dać mu już więcej żadnych zasiłków“ ...na odparcie najazdu moskiewskiego. Ba — zarzucano mu, iż w „niepotrzebną“ Rzeczypospolitej wdał się wojnę. Oskarżano, iż cudzoziemskie do kraju sprowadza wojska, nie pomnąc, iż Polska piechoty własnej przed Batorym nie posiadała, i że zwerbowana przez króla piechota cudzoziemska, a zwłaszcza węgierska, dokazywała cudów waleczności pod Połockiem, Wielkiemi Łukami, Pskowem i pod murami rozlicznych zamków warownych, dla jazdy niedostępnych. Że wśród tych cudzoziemców byli świetni inżynierowie — organizatorzy artylerji i prac minjerskich, w wojnie oblężniczej, gdy trze-

ba było kruszyć mury twierdz i warowni, nieocenieni. I chociaż nad rozwichrzonemi sejmami król formalnie brał górę, przecież niesłychanie opieszała realizacja uchwał podatkowych sprowadzała na głowę mężnego monarchy bunty ze strony nieopłacanego i źle zaopatrzonego, a przez mrozy i głód pod Pskowem szarpanego, wojska, niwecząc jego olbrzymie plany polityczne, sięgające drapieżnym pazurem genjuszu potęgi półksiężyca.

Po wielkim królu na łożu tortur rozciąga szanowna opinja publiczna genjalnego wojownika, obywatela krystalicznej czystości i cnót spiżowo nieugiętych, wielkiego — u schyłku pracowitego żywota — hetmana i kanclerza koronnego, Żółkiewskiego. Wsławiony w świecie całym zwycięzca z pod Kłuszyna, paromiesięczny pan Moskwy, zjednujący ją talentami politycznemi Rzeczypospolitej a koronę wielkiego księcia moskiewskiego królewiczowi Władysławowi, ostatnie lata spędził w najtragiczniejszych mękach ducha, przyczynianych mu bezlitośnie i jakby z perfidją przez niegodziwych rodaków. Siedemdziesięcioletni, wojnami i życiem obozowem sterany, starzec staje się przedmiotem najstraszliwszych napaści, szyderstw i potwarzy. Nieustraszonego lwa kresowego, niecna opinja pomawiać będzie o tchórzostwo, godząc w jego honor rycerski. Najczujniejszemu strażnikowi granic Rzeczypospolitej, nieustannie śledzącemu poruszenia kozactwa, ord tatarskich i zastępów tureckich, ciśnięty będzie zarzut niedbalstwa, i ten najohydniejszy i najtańszy w Polsce zarzut — zdrady ojczyzny. Zawistni i głupcy szarpać będą cześć sędziwego wodza za poniżające warunki pokoju z Turcją (1617), do odparcia najazdu której

daremnie wzywał króla i kraj cały, otrzymując miast wojska i pieniędzy instrukcje jeno, by pokój za wszelką zawarty był cenę.

Zadręczony, do rozpaczy przywiedziony, hetman zjedzie wreszcie na sejm i w wielkiej mowie wyleje strumień zebranej w sercu goryczy, wypowie słowa obrony, co będą palącem oskarżeniem mędrkujących, małych, tchórzliwych oszczerców. Czyniąc aluzję do tych, którzy „zadawali mnie jakom nieśmiały, jakom w powinności swej nieczuły i jakom niedbały" zwraca się do króla z takiemi słowy: „Temu tedy, miłościwy królu, koniec uczyniwszy, pewienem tego że rozsądkiem swym pańskim uznawać to raczysz, jako mi już na latach, a co gruntowniejszego, na zdrowiu nieladajako schodzi, tak iż czterdzieści cztery obozy odbyłem, tej Rzeczypospolitej naszej na harcach, utarczkach, szturmach, krew swoją rozlewając. A przecież ja zły, dźwigając na ramionach moich bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, a drudzy lepsi, którzy ją w niebezpieczeństwo przywodzą". Więc prosi króla o zwolnienie z urzędów, „gdyż — jak mówi z goryczą — boję się, abym dla niewdzięczności, którą miasto wdzięczności ponoszę, mógł tak godnie waszej królewskiej mości i Rzeczypospolitej służyć".

Tragiczna, niepotrzebna, śmierć opuszczonego pod Cecorą przez nieopłacone i przez kraj zaniedbane wojsko, będzie odpowiedzią hetmana — jakże bezcenną — na nikczemność. Wdzięczni rodacy nawet nie przechowają potomności jego świętych prochów. Jakiś niesumienny proboszcz wyrzuci je z cynowej trumny, zwabiony cennością metalu, z którego odleje sobie ozdobne świeczniki.

Po nim wspaniała postać równie genjalnego wojownika, hetmana litewskiego, Chodkiewicza, idzie przez Golgotę wielkich wodzów polskich, łamiąc się w sobie, mocując z nieprzyjacioły Rzeczypospolitej, oddając krew i życie i majątek ojczyźnie, wśród nieustannych o najgorsze intencje oskarżeń, w opuszczeniu przez małodusznego króla i lekkomyślny kraj, wśród wielokrotnych buntów nieopłacanego wojska.

Dźwigając na swych wyłącznie barkach ciężar wojny ze Szwedem i obrony Inflant, Chodkiewicz zapłaci za prawo okrycia wiekopomną sławą Rzeczypospolitej i swego imienia straszliwą cenę najokropniejszych katuszy. Rozliczne jego pisma pozwolą potomnym wejrzeć w duszę bohatera z pod Kircholmu i Chocimia, zachwycić wielkością, przerazić ogromem zgromadzonego w niej bólu.

Gorzkie pasmo bezskutecznych błagań i zaklęć pod adresem króla o pamięć i pomoc w pozostawionej własnym jego siłom walce z upartym najeźdźcą północnym — to codzienny refren życia bohaterskiego hetmana. „Przyrzekasz nam wasza królewska mość — pisze w jednym z licznych listów — na święta pieniądze, — zapóźno będzie. Pierwej pomrzemy od głodu. I teraz żołnierze konie swe jedzą. Skryłem się do Berzów, ażeby nie patrzeć na ich łzy, na ich rozpacz... Wasza królewska mość zapomniałeś o nas zupełnie. Tłumem odchodzą żołnierze, na mnie tylko narzekając, żem ich w tę nędzę wplątał. Wejdę do jakiego zamku i tam niech zginę. Nieprzyjaciel się gotuje i zapewne Inflanty zniszczone zostaną... Zastawiam Berzony (prywatna majętność hetmana), gotów jestem (zastawić)

i majętność całą, ale gdzież teraz pieniędzy dostanę?!"

Sławne na świat cały zwycięstwo Kircholmskie nie poprawi w niczem straszliwej sytuacji hetmana. Król pokwituje je komplimentem, Chodkiewicz pozostanie sam na sam ze swoją tragedją osamotnienia. W 1606-ym napisze do żony: „Niemasz widzę sposobu na zatrzymanie żołnierstwa... Mnie chudzinie nie wiedzieć, co przyjdzie czynić: odbieżać źle, zostawszy, a z kimże? Ledwo, dalibób — nie szaleję, że nie wiem co z sobą czynić!?"

Lecz i teraz jeszcze poderwie się do czynu, jeszcze z pod ziemi cudem hartu ducha wykrzesa jakieś mizerne zastępy straceńców-wojowników i da odczuć nieprzyjacielowi okrutną siłę swego straszliwego miecza, lecz tragedja idzie w jego ślady. Oto znów otworzy duszę w liście do żony: „...ani z waszych listów, moja najmilsza duszo, ani z królewskich, ani z żadnych pociechy za krztynę nie mam... Ja Pana Boga proszę o śmierć, a nie mam jej. A żyć w takich kłopotach, mniemam, że piekłu się równa, a pono i tam cięższych niemasz, jakie ja sam cierpię. Żołnierz mię pojutrze odchodzi. Nie zwykłem uciekać, a to mi na to przyjdzie... Ciężkać i mnie samemu służba i już mi obrzydła, ale tak sromotnie z pola schodzić, śmierci bym wolał".

Gdy następnie, naglony przez króla z pod Smoleńska o pomoc w wojnie moskiewskiej, po długich wahaniach, rozpocznie akcję, nieudanym zresztą, napadem na monaster Pieczary pod Pskowem, zawistni panowie i stugęba fama szlachecka pomawiać go będą ,iż napad przedsięwziął w nadziei obłowienia się skarbami monasteru. Do zgonu ści-

gać go będzie potwarz, niska intryga i obmowa — nieodtsępne towarzyszki wielkich wodzów polskich.

Podobnego nie uniknie losu wielki Turków i Tatarów pogromca, najgenjalniejszy wojownik swego wieku, Jan III Sobieski. Wprawdzie uśmiechnie mu się po wielokroć, jak wszystkim wodzom wielkim, bóg wojny i wiekopomną okryje chwałą jego i ziemię co to takiego wydała syna; wprawdzie nawet rodacy, opresjami przelicznemi ściśnięci i duchem anarchizmu przeżarci, ozdobią jego skronie koroną, — przecież nie ominą go wszystkie najcięższe zgryzoty i męki moralne, któremi tak obficie pojono i Batorego i Żółkiewskiego i Chodkiewicza. Wnuk Żółkiewskiego, odziedziczy po nim posterunek strażnika kresów południowo-wschodnich Rzeczypospolitej, od Turków, Tatarów i niesfornego a przez Moskwę podburzonego przeciw Polsce kozactwa, nieustannie zagrożonych. Zanim rozbłyśnie szeroko po świecie genjusz młodego hetmana wspaniałem zwycięstwem podhajeckiem, przeżyje on wszystkie udręki daremnego alarmowania króla i sejmu i kraju całego, nadciągającą burzą tatarską. Odpowie mu szyderczy z Warszawy i Krakowa i Poznania śmiech, że pan hetman niebezpieczeństwo sobie wymyślił i Rzeczpospolitą niem straszy, — sejm zredukuje wojsko do 12.500 ludzi. Nieszczęsny hetman pozostanie sam w obliczu nadciągającej i przekraczającej już granice państwa stutysięcznej potęgi nieprzyjaciela.

Znów listy do żony będą dla nas tłumaczami stanu duszy wodza. Pisze on w dniach owych: „Jakoż też już niech wszyscy przyznają, ani spać, ani jeść niepodobna i niemasz tego na świecie, któryby się mnie użalić miał. Jakoż wierzę, że żaden na

świecie człowiek w podobnych nigdy nie był terminach... Konsolacji żadnej znikąd, a jedna drugiej zewsząd gorsza nowina... Myśleć potem żeby konfederacja nie była, żeby wszystkim dawać, owo zgoła, żeby z niczego wszystko uczynić. Bo taką ode dworu odebrałem deklarację: „niech on tam sobie myśli, żeby było dobrze, bo tu niemasz pieniędzy, ani sukursu żadnego, którego niech się pewnie nie spodziewa". Nadto jeszcze wojsko zwijają i nie zostawiają wszystkiego, tylko 12.000, w które wchodzą wszystkie prezydja... I tak w pole przeciwko tak potężnemu nieprzyjacielowi, którego będzie pewno najmniej 100.000, nie zostanie nam tylko 8.000. Jeżcli tedy można w takim rządzie reputację i zdrowie konserwować, niech to najgłupszy osądzi".

Nic się hetman w obliczeniach swych nie mylił. Sułtan Giraj prowadził na Polskę 80.000 Tatarów a Doroszeńko 24.000 kozaków. Przeciwko tym siłom Sobieski zdołał zebrać 5.000 jazdy i 3.000 piechoty. Lecz rzucony na szalę losów wojennych potężny duch wspaniałego wodza opromienił oręż polski zwycięstwem podhajeckiem. Materjalnie najciężej zapłaci za nie sam hetman. Ukończywszy boje pisze do żony: „To jest tak pewne, jak słońce na niebie, że w moich samych majętnościach zginęło więcej niż 30.000 ludzi, a bydła wzięto najmniej także z 50.000. Insi prawie wszyscy żadnej a żadnej nie mają szkody. Na mnie się tylko mścili i moich dobywali miasteczek... Od samego Złoczowa aż do Tarnopola, mil wielkich sześć naszym gruntem niemasz gdzie popaść konia..." Lecz wielkoduszny hetman nie rozpacza na widok tych strat materjalnych. Znajduje on pociechę w wiel-

kości dokonanego dzieła. „Gdybym się nie był ruszył z pod Kamieńca za nimi — stwierdza skromnie — poszliby byli aż ku Wiśle i tu by byli zimowali, bo nikt ni o czem nie myślił, tylko w świat ujechać...“ Dodajmy, z królem Janem Kazimierzem na czele, który już tylko o abdykacji przemyśliwał, troski państwowe od siebie odsuwając.

Gdy wszyscy spali — jeden Sobieski czuwał. Jeszcze raz wielki duch, wielki wódz, sam, przeciw powszechności, Rzeczpospolitą ratował i ocalał.

Zapłacą mu za to panowie i tłum szlachecki pijanym po sejmikach krzykiem, by złożył buławę; ba! szablami rozsiekać go obiecywano. Gdyby nie wojsko, co się na obronę czci i osoby swego wodza sprzysięgło, kto wie jakby to było pod Chocimem w 1673-im i pod Żórawnem w 1675-ym i wreszcie pod Wiedniem.

. . . .

Pocóż to wszystko mówimy? Pocóż smutne odczytujemy naszych dziejów karty? Czemuż w święto zwycięstwa w gorzkiej prawdy wgryzamy się treść?

Poto, by nieminionych wad narodowego charakteru w stosunku do wielkich wodzów, wspaniałych mężów patrjotycznego czynu, cały wstręt i obrzydliwość jawiły się oczom naszym w pełnej nagości, odarte przez historję z ornamentów kłamliwego frazesu uzasadnień i obrony. By stało się jasnem, że cała, długotrwała, niecna, kampanja, — początkowo prawego, a dziś i przez lewe odeń przyjęta skrzydło, — partyjno-politycznej elity

przeciw Piłsudskiemu, obliczona na złamanie ducha i moralne uśmiercenie wielkiego, opatrznościowego, męża narodu, co Rzeczpospolitą z niewoli się dźwigającą podniósł, zorganizował i przed najazdem moskiewskim wspaniałem zwycięstwem obronił, — że cała ta obrzydliwość jest pod względem treści i charakteru echem i nawet dalszym ciągiem nikczemności czynionych Batoremu, Żółkiewskiemu, Chodkiewiczowi i Sobieskiemu, dziś przez cały naród czczonym genjuszom ducha, charakteru, woli i czynu, na których, jak na marmurowych wyniosłych kolumnach, wspierał się ciężar wielkości i sławy i istnienia Rzeczypospolitej. By wreszcie zbudziła się refleksja, że historja, że pokolenia następne stają zawsze po stronie wielkości i zasługi, wieńcząc je darem serdecznej po wieki pamięci i wdzięcznego uczucia, i że zawsze potępiają i na moralną skazują banicję wszystkich ich niecnych potwarców i krzywdzicieli, nawet już mało pytając, kto z nikczemności charakteru, a kto z pychą podszytej głupoty, to czynił. Pretensjonalna głupota w rachunku dziejowym równa się nikczemności, tak jak w filozofji chrześcijańskiej jest albo grzechem (u katolików) albo dowodem potępienia (u protestantów), albowiem Bóg dał człowiekowi aparat myślenia, by go ku szlachetnym a nie ku nikczemnym używał uczynkom.

Powiadają potwarcy i krzykacze sejmowo-partyjni, że z Piłsudskim walczą o „prawa ludu“, o „demokrację“, o „prawo“. Nieprawda. Kłamliwe pozory nikczemnej treści — nic więcej.

Oskarżano Batorego i Sobieskiego i Żółkiewskiego nawet, gdy do odparcia wkraczającego w ziemie polskie nieprzyjaciela wzywali, że sobie woj-

nę wymyślili. To samo oskarżenie kierowano pod adresem Piłsudskiego wczesną wiosną roku 1920-go a i później zdobycie Kijowa, co znaczeniem swoim sięga dalekich jeszcze przed nami perspektyw czasu, było powodem ciskania pod jego adresem najbezczelniejszych oskarżeń.

Zarzucano zwycięzcy z pod Kłuszyna, sędziwemu Żółkiewskiemu, zdradę — godzono tą samą podłością w Piłsudskiego, gdy najwyższych dobywał sił, by najazd moskiewski odeprzeć.

Pomawiano triumfatora z pod Kircholmu, Chodkiewicza, iż uderzając w monaster Pieczarski, osobistego szukał zysku, — oskarżano niecnie Piłsudskiego, iż jakoweś insygnja królewskie przed narodem ukrył, nie wiedzieć — bo tego potwarcy nie rozstrzygnęli dylematu — czy by je dobrze sprzedać, czy by się niemi przyozdobić.

Gdzież tu jest walka o jakiekolwiek ideały czy doktryny, gdzie w tem cel, jeśli nie szlachetny, to przynajmniej godziwy? Jest tylko straszliwa ciągłość najgorszych przywar charakteru, najobrzydliwsza ilustracja stwierdzenia Jana Długosza, iż „Polacy szczególnie skłonni są do zazdrości, wyszydzań i ogadywania“.

— Ba! — powiada się jeszcze, że Piłsudski dąży do skupienia w swem ręku całej władzy w państwie, że ma dyktatorskie zamiary, chociaż się dyktatury stanowczo i głośno wyrzekł, że trzeba z nim — a to w ustach sejmowiczów najsilniejszym jest argumentem — walczyć w imię „praw ludu“. Jakżeż nie poddać się ciężarowi takiego argumentu? „Prawa ludu“ — taka piękna melodja rewolucji francuskiej i całej naradzającej się w XIX-ym stuleciu demokracji europejskiej! — jakżeż nie ulec

jej sugestji? Lecz obejrzyjmy się trochę wstecz. Toż przecież już przed trzystu pięćdziesięciu laty Batorego oskarżano, iż zamyśla o zagarnięciu pełnej władzy, o wprowadzeniu monarchji absolutnej i wzywano do walki z nim w imię „wolności szlacheckich“. Król umarł a „wolności“ pozostały. Cóż z nich wyrosło? Upadek Rzeczypospolitej i nic innego wyrosnąć nie mogło, albowiem „wolności“ szlacheckie były przywilejami kasty, hamującemi rozwój państwa, jak „wolności ludu“ w ustach naszych sejmowiczów są przywilejami partyj i i[illegible] posłów, ufundowanemi na prawach i potrzebach rozwojowych ludu.

W imię tych przywilejów, nie mających ani historycznego ani rzeczowego uzasadnienia, albowiem Polska nigdy w przeszłości ani w czasach naszych nie wychodziła dobrze na rządach sejmowych, — toczy się wstrętna kampanja przeciw Piłsudskiemu. I to jest pewne, i niech to sobie wszystkie dobrze zanotują oszalałe w nędznej walce głowy, że jak historja potępiła „wolności“ szlacheckie i ich obrońców, do których w w. XVIII-ym należały już dwory: rosyjski, pruski i austrjacki, tak samo bezlitośnie potępi owe „wolności ludu“ naszych sejmowych posłów i partyjnych wodzirejów, do rzędu obrońców których też już powoli wciąga się i obce siły, dziwacznym najwidoczniej — ale dla głupców — zbiegiem okoliczności akurat te same siły i instytucje międzynarodowe, co ulegają sugestji niemieckiej propagandy „rewizjonistycznej“, w rzeczywistości aneksjonistycznej, względem naszego Pomorza.

Analogje historyczne często kuleją. Lecz tam, gdzie — jak w przytoczonych tu wypadkach — na-

rzucają się one siłą identyczności sytuacyj, przejawów i konsekwencyj, są one kluczem dla oceny danego momentu.

Jeśli ustalimy — a tego tylko nieuleczalni głupcy nie uznają — że Piłsudski, z charakteru odegrywanej przez niego roli dziejowej, jest w prostej linji następcą wielkich wodzów i statystów: Batorych, Żółkiewskich i Sobieskich — a bierzemy dla porównania wodzów rzeczypospolitej szlacheckiej, najbliższej ideałowi rządów dzisiejszej naszej elity partyjno-politycznej — staje się jasnem, że jak cała kampanja oszczerstw i potwarzy, przeciw nim prowadzona, uznana została przez historję za niegodziwą i niecną, analogiczna, z podobnych pobudek płynąca, kampanja przeciw Piłsudskiemu jest identyczną co do charakteru. Z czego ten wysnuwa się wniosek, że ponieważ te praktyki elity, przez niskie uczucia zawiści i egoizmu dyktowane, miały za skutek utratę wolności przez cały naród, — cały naród winien dzisiaj, stając w dobrze zrozumianej obronie odzyskanej niepodległości, tępić pozostałości tych praktyk, nietylko dlatego, że godzą one w Piłsusdkiego, lecz ponieważ dążą one do uśmiercenia wszelkich lepszych wartości w narodzie, w imię bałwańskiego pojmowania demokracji, jako zasady, ustalającej prawo *ilości* do deptania *jakości*. Dwaj analfabeci deputowani, to, w myśl tego pojmowania, większa siła decyzji o losach kraju, niż jeden Napoleon. Owocem jego staje się czasami — jak poucza historja, chociażby właśnie Napoleona — że jedna kompanja wojska jest czemś więcej od całego parlamentu, że rozbija ona bezduszną filozofję *ilości* i wynosi ponad nią *jakość*, z którą sprzymierza się instynkt mas spo-

łecznych. I — o zgrozo, — historja przyznaje rację owej kompanji wojska, jak przyznaje ją kołu rycerskiemu, co ocaliło Sobieskiego przed sejmikowymi pyskaczami i rębajłami dla wielkich czynów chocimskich i wiedeńskich, dla sławy i pożytku Rzeczypospolitej, i jak przyzna słuszność i zasługę wojsku, iż ujęło się za Piłsudskim przeciw szaleństwu partyjnego zacietrzewienia i utorowało mu drogę i stworzyło warunki ocalenia państwa z toni chaosu.

Wśród doktrynerów demokratycznego porządku rzeczy, doprowadzających go do krzyczącego absurdu, nie brak głosicieli teorji, iż wielcy wodzowie, genjalni władcy czynu, są nietylko zbędni demokracji lecz wręcz najżywszem dla niej niebezpieczeństwem. Z ciasnego punktu widzenia, skąd interes kraju najzupełniej przesłania ideał kolektywizmu przeciętnej miernoty, jest w tej teoryjce coś słusznego; wybitna indywidualność ogranicza lub zgoła odbiera władzę wszechmocnym bez niej miernotom. Atoli taki punkt widzenia jest błędny i obraźliwy dla inteligentnego i szlachetnego umysłu.

Historja poucza w sposób kategoryczny, iż momenty rozkwitu, akty heroizmu i t. zw. cudów we wszystkich narodach, a już z całą pewnością w narodzie naszym, związane są z imionami wielkich, genjalnych wodzów i statystów. Że odwrotnie, gdy jednostek takich nie stawało, państwo chyliło się ku upadkowi, duch narodu przygasał, siły wyczerpywały się w rozterkach niezgody, — w wojnach i w polityce ponosiliśmy klęski, nawet, gdy objektywne warunki dawały nam szanse zwycięstwa.

Możnaby, a nie byłoby to bez pożytku, bardzo daleko snuć analizę samego zjawiska wodza i przyczyn oraz środków jego szczególnego oddziaływania na środowisko, zwłaszcza polskie. Wystarczy tu przecież stwierdzić, że wódz, przez wzbudzenie nasamprzód zainteresowania i ufności, a następnie przez umiejętność najlepszego dyskontowania zmobilizowanych sił narodu, staje się busolą, wskazującą kierunek wysiłku dla świadomej działalności i że dzięki temu może on, skupiwszy wokół siebie znaczniejsze siły, osiągać wyższe cele w szeregu narodowych potrzeb i aspiracyj. Przy właściwościach polskiego charakteru i umysłowości niepodobna oczywiście marzyć o jednomyślności. Największy bohater i genjusz czynu mieć będzie przeciwko sobie pewną ilość sił społecznych, straconych dla podejmowanych przezeń ku dobru publicznemu wysiłków. Lecz nadając zebranej wokół siebie ich części ruch celowy i łącząc z nią możliwości swego osobistego genjuszu, osiągnie rezultaty pozytywne, konstrukcyjne, które znaczyć będą etapy w życiu państwa i narodu.

Nigdzie może, jak w Polsce, eksploatowany był walor genjuszu wielkich ludzi, wielkich wodzów, w czem szukać należy wyjaśnienia, dlaczego rola ich w naszych dziejach jest tak olbrzymia.

Powróćmy na chwilę jeszcze do wodzów wspomnianych już uprzednio.

Pod Gdańskiem, w obozie śmiesznie szczupłych swoich sił, siedzi zasępiony Batory. Król wielkiej Rzeczypospolitej nie ma wojska na poskromienie zbuntowanych gdańszczan. W sercu jego wre straszny gniew i okropny wstyd bezsiły. Sejm, głuchy na perswazje, wszelkiej odmawia pomocy. Tym-

czasem najgorsze nadchodzą wieści o poruszeniach Iwana Groźnego i Tatarów. Zewsząd nieszczęście i najcięższe opresje, a panowie bracia szerokie a jałowe na sejmie wiodą dyskusje, liczne wytaczają żale i pretensje, aż ich zgromi zagniewany król: „Bądźcie stróżami wolności waszych, ale nie chciejcie być bakałarzami mymi i senatorów moich. Strzeżcie tedy tak swojej wolności, aby się w swawolę nie wyrodziła“. I przełamując na każdym kroku najcięższe przeszkody, zbierając siły, uciekając się do dyplomacji i ustępstw, zakończy awanturę gdańską, by śpieszyć na wschód, gdzie najazd moskiewski całe już zalał Inflanty.

Z dwudziestotysięczną zaledwie i to z najwyższym wysiłkiem i częściowo przez zaciągi cudzoziemskie zgromadzoną siłą, ruszy przeciw potędze Iwana Groźnego. Genjusz natchnie go zdolnością tak olbrzymiego ryzyka i poprowadzi do zwycięstwa.

Ileż trzeba wysiłku, by zdobyć możność ratowania Rzeczypospolitej? — ten okrzyk często zrywać się musiał z ust szamoczącego się z obojętnością i małodusznością kraju tego dziwnego Węgra, co Polskę chciał do wielkości i pomyślności prowadzić, i wbrew wszystkim przeszkodom, czynionym jego szlachetnym zamiarom, uparcie prowadził.

Niewielki od tego momentu skok w czasie przenosi nas do obozu pod Smoleńskiem. W namiocie przyozdobionym proporcem królewskim, król Zygmunt z hetmanem Żółkiewskim czynią smutny obrachunek kampanji. Lekkomyślne nadzieje, bezskutecznie perswadowane od początku przez hetmana, na szybkie zdobycie Smoleńska i triumfalny przemarsz aż do Moskwy, pogrzebane. Szeregi woj-

ska przebiega coraz częściej szmer zniechęcenia i buntu. Nadzieja na współdziałanie Dymitra samozwańca i zgromadzone przy nim siły polskie, rozwiane. Car gromadzi wielką armję, by rzucić ją do walnej z królem polskim rozprawy. Kto rozerwie tych chmur czarnych kolisko piorunem bohaterskiego czynu? Zaufaniec i przyjaciel króla, hetman Potocki odmówił. Zrozpaczony monarcha zwróci się wtedy z prośbą o pomoc i ratunek do odsuwanego i objawami nieszlachetnej niełaski karmionego Żółkiewskiego. I ten nie odmówi.

Król wyznaczy mu na to spotkanie z całą siłą moskiewską aż dwa tysiące jazdy i tysiąc piechoty. Oto cała potęga Rzeczypospolitej do wyprowadzenia w pole, poza tem co bezużytecznie uwięził upór dobywania twardych murów Smoleńska. Z trzema tysiącami wojska ma Żółkiewski powalić Moskwę. Lecz z tymi śmiesznymi liczebnie zastępami rycerskimi idzie genjusz wielkiego wodza. Uzupełni on w marszu swe siły do siedmiu tysięcy ludzi i z tem stawi czoło 60-tysięcznej armji brata carskiego, rozbije ją doszczętnie w przesławnej bitwie pod Kłuszynem, wkroczy do Moskwy, zdobędzie koronę moskiewską dla polskiego królewicza. W rozprawie pod Kłuszynem 13 tysięcy trupów rosyjskich zalega pobojowisko, hetman straci stu towarzyszów i kilkuset pachołków.

Tak genjusz porazi potęgę nieprzyjaciela i uwieńczy laurem zwycięstwa imię Rzeczypospolitej.

Tą samą siłą indywidualnego genjuszu dobywać będzie z pod ziemi rycerskie zastępy Chodkiewicz i bić bezprzykładnie Szwedów. Zawsze słabszy — zawsze zwycięski, zawsze opuszczony — zawsze nieugięty w szukaniu zwycięstwa. to poprostu

prawidło jego żywota. Z trzema tysiącami rozgromi pod Białym Kamieniem siedem tysięcy Szwedów, tracąc 81 rycerzy, kładąc trupem 3.000 nieprzyjaciół. Na trzy tysiące czterystu wojowników oblicza ściśle swe siły, gdy staje pod Kircholmem do walnej rozprawy z czternastoma tysiącami wojsk króla szwedzkiego i wiekopomną okryje się sławą, najwspanialsze odnosząc zwycięstwo, rozgramiając doszczętnie nieprzyjaciół, zmuszając króla do sromotnej z pola bitwy ucieczki. Gdy zacznie liczyć własne straty, naliczy około setki poległych i dwustu rannych. Po stronie nieprzyjaciela dziewięć tysięcy trupów zaściela pobojowisko.

Siło genjuszu — jakież ty sprawiasz cuda!

Wodzowie, — wy, niepotrzebne w przekonaniu doktrynerów „wolności szlacheckich“ i „praw ludu“ istoty, — wy, ofiary wszelkiej niegodziwości mędrkujących tchórzów i głupich rębajłów, jakżeby bez was potoczyły się losy tego nieszczęsnego, w ciągłe popadającego oślepienia, popędzanego namiętnościami i swarliwego, narodu?

Sobieski, co w trzy tysiące rycerstwa, zebranego na własną rękę i własnym przeważnie sumptem, pod Podhajcami łamie w okropnych, tragicznych, bojach stotysięczne zastępy tatarskokozackie i wymusza honorowy dla Polski pokój — to także „niepotrzebny“ wódz. Ba! buławę mu sejmowicze zato „niepotrzebne“ zwycięstwo oddać każą.

Bo cóż! Potem już tylko w trzy tysiące jazdy błyskawicznemi obrotami porazi 250 tysięcy Tatarów i Turków, poznosi całe zagony ordy, pobije poszczególnych sułtanów, położy trupem 26

tysięcy wrogów, zdobędzie na nich łupy olbrzymie, uwolni uprowadzonych w jasyr około 100.000 Polaków, przeważnie kobiet i dzieci.

A pod Chocimem zniszczy armję turecką, kładąc 30 tysięcy trupów, tracąc 2 tysiące. Pod Żórawnem zaś zatrzyma z 16-ma tysiącami rycerstwa 130 tysięcy Tatarów i 80 tysięcy Turków, przywodząc ich do rezygnacji z wojny, wymuszając pokój honorowy.

„Niepotrzebnego“ pyskaczom wodza, jakże potrzebny Rzeczypospolitej plon!

Dwa wieki po Sobieskim żaden wódz, żaden charakter spiżowy genjalnej jednostki nie stawał wpoprzek rozwojowi temperamentów i instynktów i popędów aktywnej części masy narodowej. Do czegóż doprowadziły one Polskę? Jakiemiż wiekopomnemi czynami wypowiedziały się na przestrzeni pełnych sromu wieków XVIII-go i XIX-go?

Nie brakło i wówczas porywów szlachetnych. Prawda. Zjawiały się nawet indywidualne talenty i nawet chwile otrzeźwienia a chęci zmazania krwią okropnych win. To także prawda. Lecz nad wszystkiem góruje ta prawda ostateczna, że Rzeczpospolita w trójniewolę popadła, że żadne zacne usiłowania, nie narzucone masie siłą genjuszu, nie zdołały siłą swej — nieodpartej przecież — racji. wykrzesać z narodu cnót, co stwarzają cuda.

Chociaż liczne są niewątpliwie tego przyczyny, jedną z ważniejszych jest ta, że charakter polski — a to z braku istotnej kultury społecznej — nie znosi żadnych autoryterów; że wcześnie oba-

liwszy powagę władzy monarchicznej, szlachta wychowywała się w niezdrowej atmosferze przywilejów, nie znajdujących rónoważnika w poczuciu obowiązków obywatelskich i ducha karności, i że ta przywara nawskroś anarchiczna przetrwała po dzień dzisiejszy, jak chcemy wierzyć, w zmniejszonym już na szczęście stopniu.

Sejmy szlacheckie deptały autorytet władzy monarszej, naigrawały się z hetmanów, kanclerzów, podskarbich — królewskich ministrów. Tem samem spychały w błoto własny autorytet, albowiem niszcząc w społeczeństwie szacunek dla hierarchji i instytucyj władzy, unicestwiały i własną powagę, o którą zresztą samym tokiem obrad, awanturniczych i jałowych, oraz rozwiązłością słowa padającego z sejmowej trybuny, bynajmniej nie zabiegały.

Gdy zaś w narodzie instytucje władzy nie posiadają autorytetu, gdy liczą się z niemi tylko ci co chcą a poniewierają wszyscy, cóż jak nie przypadek i któż jak nie genjalna jednostka, zgromadziwszy przy sobie jakie takie siły, staje się w momencie opresji jedyną nadzieją ocelenia nawy państwowej?

Wraz z wiekiem XX-ym zjawia się na horyzoncie polskim, beznadziejnością niewoli zasnutym, taka jednostka. To Piłsudski. Jego duch heroiczny budzi heroizm w garści, a następnie w tysięcznych już zastępach, młodzieży. To siła, która przetnie w listopadzie 1918 roku związki Polski z zaborczemi potęgami. I oto na powierzchni, tchnieniem wolności owianego, życia polskiego stanie Piłsudski sam, jako symbol nowej ery. Na

gruzach i popiołach niewoli i wojny niema żadnych instytucyj symbolizujących życie wolne, powołanych do kierowania narodu losami. Taką instytucją jedyną jest on. Siłą swego genjuszu zdobywa on prawo rozkazywania. Los żąda, by był wodzem i statystą. Jest jednym i drugim. Wiedzie w bój pierwsze Rzeczypospolitej wojska i stwarza instytucje władzy, kładzie podwaliny pod orgarnizację życia państwowego Polaków. To wszystko czyni sam — to wszystko dzieje się dlatego, że on jest. Że jest źródło energji i siła rozkazu, górująca nad powszechnym chaosem i podnoszącem głowę pieniactwem, wydobywająca z narodu siły dla celowej działalności.

Ktoś tchnienie wolności, idące ku narodowi naszemu z piekła wojny, musiał zamienić w realną treść narodowego życia; uchwycić je, zatrzymać i ucieleśnić. Uczynił to Piłsudski.

Dowodzić, iż jego genjusz stworzył plan odparcia najazdu moskiewskiego z nad Wisły i że go zrealizował, to wywalać drzwi otwarte. Może lepiej będzie przypomnieć, że w dniach owych nie ku sejmowi czy rządowi czy komukolwiek bądź, lecz ku niemu jednemu zwracały się oczy wszystkich z oczekiwaniem i nadzieją ratunku. Że jego widok uskrzydlał wojska i krzesał z dusz żołnierzy ogrom radosnego heroizmu. Że to on, w męce krzesania „wszystkiego z niczego" i ważenia się na szaleństwo decyzji, dźwignął mdlejącego w narodzie i wojsku ducha, pchnął granice Rzeczypospolitej ku Dźwinie i Zbruczowi.

Mówimy — w męce. Pisze o niej sam Piłsudski: „...Nad całą Warszawą wisiała zmora mędrkowa-

nia, bezsilności i rozumkowania tchórzów. Jaskrawym tego dowodem była wysłana delegacja z błaganiem o pokój". Ten stan umysłów zmuszał wodza do pozostawienia stolicy i olbrzymiej ilości zebranych u jej progów wojsk roli pasywnej w akcji uderzeniowej. „Ten nonsen założenia — pisze Marszałek — męczył mnie tak niezmiernie, że doprawdy niekiedy wydawało mi się, że ze wszystkich kątów coś chichocze i kpi ze mnie, gdy nonsens i wyraźną głupotę biorę za podstawę mojej rachuby czy mojej decyzji". Lecz, dodaje on, „nie mogłem się zdobyć ani na zaufanie do sił moralnych wojska i mieszkańców stolicy, ani na pewność dowódców jednych i drugich... Bezsilność, gdym przemyśliwał o konieczności inicjatywy, pluła mi wprost w twarz... Wszelkie próby (rachunku) dawały nicość siły — nonsens założenia, bezrozum bezsilności lub nadmiar ryzyka, przed którym logika się cofała. Wszystko wyglądało w czarnych kolorach i beznadziejnie".

Znamy te męki i te odgłosy mocowania się z losem dusz wielkich wodzów. Żółkiewski i Chodkiewicz i Sobieski takiemi się spowiadali tragicznemi słowy. Lecz jak oni i Piłsudski również z „nicości siły", z „bezrozumu bezsilności" wyniósł wiekopomne zwycięstwo. Albowiem jednakie są po wsze wieki prawa genjuszu: cuda kroczą ich śladami, męka trapi ich serca heroiczne.

„Niepotrzebni" wodzowie polscy!

„Niepotrzebny" wódz odrodzonej Polski!

Jakże prędko po cudzie sierpniowym usłyszeć miał, iż jest „niepotrzebny". Jakże bezlitośnie

miała weń uderzyć fala nikczemnych potwarzy; jakże gwałtownie miały bluznąć w rycerską postać strumienie najobrzydliwszego błota.

Piłsudski ustąpił. Zszedł z drogi opanowanej furją zawiści elicie partyjno-politycznej, obwarowanej w okopach ordynacji wyborczej i konstytucji, zapewniających jej panowanie w sejmie i supremację sejmu nad władzą wykonawczą. Pozostawił swobodę rozwojowi instynktom i popędom tej elity.

Cóż uczyniła ona z Polską?

Splamiła ją mordem na osobie głowy państwa, utopiła zwierzchnią władzę państwową w błocie ulicznym i we krwi jej pomazańca. W przeciągu zaledwie trzech lat obaliła autorytet wszystkich instytucyj władzy, unicestwiła powagę rządu i sejmu, zanarchizowała państwo i życie społeczne tak gwałtownie, że przerażone społeczeństwo widziało jedyne ocalenie w powierzeniu Piłsudskiemu pełnej i nieograniczonej władzy, na gruzach zniszczonych instytucyj republikańskich. Wystarczyło trzech lat, by stało się dla wszystkich uczciwych obywateli widocznem, że bez indywidualnej siły kierowniczej, bez genjuszu Piłsudskiego, bez tego wodza, Polska nietylko z niewoli się wyrwać i przed wrogiem potężnym obronić, lecz nawet kontynuować swego życia pomyślnie, po linji rozwojowej, jeszcze nie może.

W roku 1926-ym Piłsudski stał się znów jedyną instytucją, — on sam jako Piłsudski, a nie taki lub inny jego urzędowy charakter, — zdolną do kierowania losami narodu, rozporządzającą auto-

rytetem rozkazywania i żądania świadczeń, nakładania obowiązków, krzesania karności obywatelskiej z rozproszkowanej masy narodowej. U nóg jego leżał spostponowany przez sejm fotel prezydencki, zdewaluowane w opinji publicznej teki ministerjalne i serdecznie znienawidzony w całym kraju, rozwalony na pożerające się nawzajem frakcje, sejm. Władze: wykonawczą i ustawodawczą — uniosła na grzbiecie fala powszechnej wzgardy. Ocalone zostały, przynajmniej ocalone w demokratycznych formach, tylko dlatego, że wziął je pod swą opiekę Piłsudski.
Gdy się dzisiaj obserwuje, jak ta sama elita, co w trzyletniej swobodzie rządów wystawiła okropne świadectwo swoim cnotom obywatelskim i rozumowi politycznemu, ochłonąwszy z przerażenia w ciszy rządów Piłsudskiego, kontynuuje z wzrastającym zapałem pracę niszczenia autorytetu instytucyj władzy, — ogarnia nas nieopisana trwoga o przyszłość ojczyzny.

Cóż się z nią stanie w tych trudnych zewnętrznych warunkach bytowania, gdy wielkiego człowieka, czuwającego za wszystkich i zbrojnego w siłę narzucania swej woli, nie stanie, a zdeprecjonowane instytucje władzy nie będą posiadały autorytetu, w stopniu niezbędnym do skupiania i kierowania energji i siły narodowej w kierunku niezbędnym? Gdy nikt ich nie będzie szanował i słuchał, i gdy, z tej przyczyny, zostaną one zdegradowane pod względem treści intelektualnej i stracą śmiałość działania? Albowiem jest naturalną konsekwencją depopularyzacji instytucyj władzy, iż stronią od nich umysły i charaktery

wartościowe. Ucieczka ludzi lepszej miary od sejmu — najlepszym tego dowodem. Zdeprecjonowane instytucje władzy stają się miejscem zbiórki ambitnych albo naiwnych miernot, nie posiadających objektywnych danych na mężów stanu, zdolności sprostania zadaniom sterowania losami narodu, ku czemu niebędna jest odwaga decyzji, właściwa tylko jednostkom szczególnie utalentowanym i dostatecznie doświadczonym.

Co się stanie z Polską, gdy kierownictwo jej życiem będzie udziałem takich instytucyj, takiej władzy?

Jeśli męka tego pytania, nie odstępująca żadnego szlachetnego obywatela — słyszy się je z różnych stron, sfer i obozów — skłania do czułości pod adresem owej elity partyjnej, co ją swoją działalnością nieustannie wywołuje i której ani czas, ani przykłady, ani doświadczenie, niczego nie nauczyły — „niech to najgłupszy osądzi".

Dzisiaj przecież każdy obywatel myślący zdaje sobie sprawę, iż spokój i bezpieczeństwo życia zawdzięczamy faktowi, że piecza nad losami państwa i nad wewnętrznym w nim ładem spoczywa w rękach Piłsudskiego. Wielki przemysłowiec i robotnik, ziemianin i włościanin, sklepikarz i inteligent, socjalista i endek — wszyscy, nawet powtarzając czasami różne demagogiczne brednie swoich partyjnych organów i agitatorów, są zgodni co do tego, że odejście Piłsudskiego od władzy byłoby wielkiem nieszczęściem.

W ten sposób, poprzez zatroskanie o siebie i swoje warsztaty pracy, oddają oni hołd genju-

szowi Piłsudskiego, dają świadectwo oczywistej prawdzie, iż ten„ niepotrzebny“ sejmowym krzykaczom i ambitnym miernotom wódz, jest duchem opiekuńczym, gwarancją bezpieczeństwa i spokoju Rzeczypospolitej.

CO DZIEŃ JUTRZEJSZY NAM PRZYNIESIE?

V.

CO DZIEŃ JUTRZEJSZY NAM PRZYNIESIE?

Cud jest za nami. Zwycięskie odparcie najazdu moskiewskiego, to już fakt historyczny. Polska ocaliła swe prawo do bytu niepodległego, — siła zaborcza wschodniej sąsiadki mieczem została złamana. Kultura europejska została uratowana, — oto co odradzająca się Rzeczpospolita wniosła w posagu rodzinie cywilizowanych narodów. W stosunkach polsko-rosyjskich zaczęła się — jak zauważyliśmy — niejako trzecia faza dziejowa, faza przewagi polskiej. Proces historyczny, mający za sobą pięciowiekową przeszłość, trwa.

. . . .

Wielki kanclerz, statysta miary nieprzeciętnej, Jan Zamoyski, gdy w r. 1581, po zwycięstwach Batorego, do sejmu o Moskwie mówił, rzekł: „Póty ten nieprzyjaciel pokój dzierży, póki mu potrzeba".

Trzysta pięćdziesiąt lat upłynęło od tego czasu. Zapytajcie historji czyli nie miał racji?

A nadto radził wówczas kanclerz: „Trzeba mu (Rosji) nietylko pierze wyrwać, żeby nie porosły,

ale barki strącić, trzeba go zrazić do morza; stamtąd może być posilony praktykami, materjałem wojennym, rzemieślniki; trzeba mu te barki strącić i do końca przyprzeć..."

Rzeczpospolita pokoju pragnie, pokój sąsiadom niesie. i jesteśmy ostatnimi, którzyby mieli ochotę szablą brzękać, wojną straszyć, wojnę głosić. Lecz jesteśmy też ostatnimi, zdolnymi utożsamiać pragnienie pokoju z zamykaniem oczu na rzeczywistość.

Nikt dzisiaj nie pragnie dosłownie interpretować wskazań kanclerza Zamoyskiego, — lecz idea naszego programu polityki bałtyckiej w nim jest. Nikt nie łaknie perpetuacji dziejów w tym sensie, by po jednym najeździe następował drugi, — lecz przestroga w dziejach zawarta nie może być lekceważona.

To przynajmniej winniśmy tej krwi bezcennej, z której się narodził sierpniowy cud 20-go roku.

Lipiec—sierpień 1930 r.

ale każdy [illegible] trzeba [illegible] do [illegible] może być [illegible] [illegible], trzeba mu [illegible] [illegible] i do końca [illegible].

[illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] w [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] być [illegible].

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible].

[illegible]

TREŚĆ: